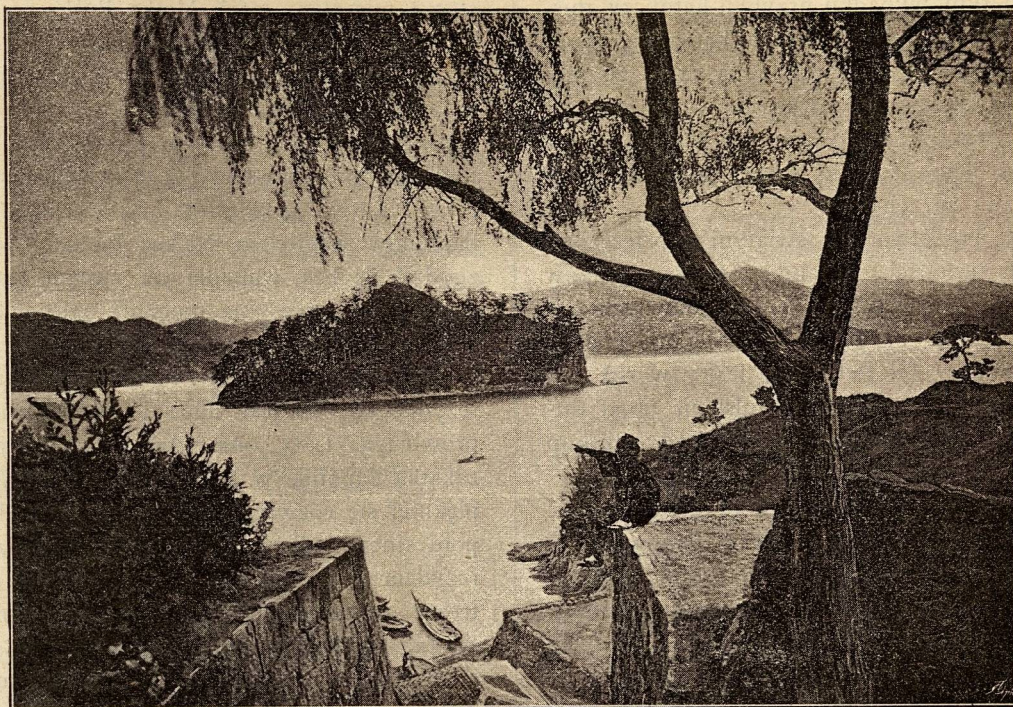




Japonia. — Widok od strony wejścia do nagasakińskiej przystani; podług fotografii przysłanej przez X. J. M. Corre.

Najświętsza Panna i Japonia.



Wiadomo powszechnie, że wiara święta została wprowadzona do Japonii przez Wielkiego Apostoła Indyj, św. Franciszka Ksawerego. Wylądował on tam pod opieką Najśw. Panny w uroczystość Jej Wniebowzięcia dnia 15 sierpnia 1549 r. Po nim opowiadali Japończykom Ewangelię inni jego bracia zakonni, za którymi też przybyli niebawem OO. Dominikanie, Franciszkanie i Augustianie. Wszyscy ci misyjonarze nawrócili wielu pogan i wraz ze czcią dla prawdziwego Boga zaszczypli w sercach neofitów cześć dla świętej Jego Matki.

Nigdy jeszcze od czasów pierwotnego Kościoła nie widziano tak żywych objawów pobożności i wiary. Wkrótce potem zazdrośni bonzowie wywołali długie i okropne prześladowanie. Tysiące męczenników zakończyło życie wśród okropnych katuszy, ostatnim zaś ich okrzykiem bywały zwykle słowa: »Jezus, Marya!« Mówi tradycja, że niektórym z nich objawiła się Najśw. Panna, aby im przynieść ulgę i osłodę w cierpieniach.

W r. 1862 odbyła się kanonizacja 26-ciu z tych męczenników, a w r. 1867 beatyfikacja 205-ciu ich towarzyszy.

W XVII wieku wszyscy pasterze wraz z mnóstwem owieczek padli ofiarą prześladowania, tak, że w całej Japonii nie pozostał ani jeden biskup lub kapłan. Kraj został zamknięty dla cudzoziemców i w przeciągu pół-

trzecia wieku mniemano powszechnie w Europie, że kwitnąca niegdyś chrześcijańska gmina w Japonii znikła na zawsze z widowni.

Ale ta missya założona pod opieką Maryi i obsypana Jej łaskami, nie mogła zginąć tak marnie. W braku kapłanów sama Matka Boska objęła nad nią pieczę i kierunek. Ona to stała się gwiazdą, która podczas długiej i okropnej nocy przyświecała synom męczenników słupem ognistym, który szedł na ich czele. Cześć i miłość dla tej Najśw. Matki, zakorzeniona głęboko w łonie rodzin, stała się najtrwalszą podporą religii i utrzymała ją w sercach.

W r. 1847, gdy Japonia bardziej niż kiedykolwiek wydawała się niedostępną, Papież Pius IX idąc za natchnieniem Niebios, ogłosił Najśw. Pannę, Patronką całego japońskiego mocarstwa pod wezwaniem Najczystszego Jej Serca.

Wreszcie w r. 1854, to jest wówczas właśnie, gdy Ojciec św. ogłosił dogmat o Niepokalanem Poczęciu, Japonia od tak dawna zamknięta, otworzyła się znowu dla cudzoziemców i opowiadaczy Ewangelii.

Nie od razu jednak odżył tu katolicyzm. Do kraju tego dotarli najprzód pastrowie protestanccy, do nich zaś ukradkiem wprowadzili z obawy prześladowania, którego groźba ciągle jeszcze wisiała, przyszli potomkowie dawnych chrześcijan, spodziewając się w nich znaleźć następców tych, którzy nawrócili i wykształcili ich przodków. Niestety, biedacy nie znaleźli tam Maryi i wrócili z głębokim bólem w sercu.

Wkrótce po tym wypadku przybyli katoliccy misyjonarze, a nawet stanął piękny kościół katolicki, ukończony w lutym 1865 r. i poświęcony na cześć 26 męczenników japońskich, kanonizowanych w r. 1862. — W kościele tym wzniesiono ołtarz dla Najśw. Panny i umieszczono na jego szczycie statuę Boga-Rodzicy z Dzieciątkiem Jezus na ręku.

Natychmiast po otwarciu świątyni spostrzeżono olbrzymi napływ ludności. Potomkowie męczenników odzyskali ukochaną Najświętszą Pannę i dawnych odnaleźli kapłanów. Dnia 17 marca dali się oni poznać jednemu z misyjonarzy O. Petitjean, który w rok później z rozporządzenia Stolicy Apostolskiej, objął duchowny nad nimi kierunek, jako tytularny biskup Myriofitu i wikaryusz apostolski całej Japonii.

Po niejakiem czasie Papież Pius IX pragnąc utrwalić wspomnienie dobrodziejstw Najśw. Maryi Panny względem tej krainy, ustanowił na cześć Jej osobną uroczystość, wyznaczwszy na nią dzień 17 marca każdego roku. Uroczystość tę zowiemy świętem odkrycia dawnych chrześcijan, albo poprostu świętem Najśw. Panny Japońskiej. Tenże sam Ojciec św. nadał pewne odpusty antyfonie: »Najśw. Panno Japońska, Niepokalanie Poczęta Maryo, módl się za nami«.

Przez długi czas wszakże nie było żadnej stacyi misyjnej pod wezwaniem niebieskiej Opiekunki Japonii; dopiero cztery lata temu na początku 1889 r. wysłano misyjonarza do rozległej prowincyi Higo, która dotąd jeszcze nie była ewangelizowaną. Kapłan ten przed udaniem się w drogę, wybrał patrona dla nowego misyjnego posterunku, prosząc biskupa o potwierdzenie tego wyboru.

Nie tego jednak Świętego przeznaczył Bóg widocznie na orędownika przyszłej misyi. Wkrótce potem misyjonarz wysłał przed sobą pewnego kapłana krajowca do miasta Kumamoto, stolicy tej prowincyi i polecił mu wynająć mieszkanie. Chociaż nie brakło domów do wynajęcia i niejednokrotnie zawierano umowy, zwykle jednak te ostatnie zostawały zrywane, jedyną zaś pobudką do takiego postępowania ze strony Japończyków była nienawiść świętej naszej wiary.

Wreszcie podpisano kontrakt i misyjonarz nadjechał niezwłocznie, ale zaledwie go ujrzeli mieszkańcy Kumamoto, zerwali natychmiast zaciągnięte zobowiązania, nie chcąc pozwolić na rozkrzewianie wśród siebie katolickiej religii.

Co począć?... Było to właśnie dnia 16 marca. Nagle misyjonarzowi¹⁾ przychodzi na myśl udać się pod opiekę Najśw. Panny Japońskiej, której uroczystość obchodzono nazajutrz. Wzywa przeto kapłana krajowca i obaj postanawiają założyć pod Jej wezwaniem nową

stacyę misyjną, jeżeli Matka Boska zechce w przeciągu doby dostarczyć im mieszkania.

Tegoż samego wieczora przyszedł pewien człowiek, mówiąc, że oddaje do ich rozporządzenia dom na takiej a takiej ulicy, pod tym a tym numerem, i że mogą przenieść się tam niezwłocznie, oraz rozkrzewiać zasady swej religii. Łatwo zrozumieć radość i głęboką wdzięczność kapłanów względem Najśw. Panny. Naturalnie biskup zgodził się bez wahania na zmianę patrona i polecił nową stacyę misyjną potężnej opiece Tej, która sama już nad nią rozciągnęła swą pieczę.

Teraz więc Najśw. Panna Japońska ma już własną rezydencyę, to jest duże i piękne miasto z rozległą prowincyą. Leży ona właśnie w samym środku tego zakątka Japonii, w którym niegdyś Chrystyanizm najpiękniej się rozwinął i gdzie po wielu latach dokonano pomyślnego odkrycia, o jakim wyżej nadmieniałem. Ma rezydencyę — mówię — i miejsce to zaczyna już po trosze zaludniać się wiernymi, ale braknie nam kościoła, kaplicy, a nawet ołtarza, tak, że Msza święta odprawia się na stole w ubogim domku japońskim.

Aby zbudować kościół odpowiedni wzniosłemu przeznaczeniu, to jest duży, piękny i trwały, wraz z mieszkaniem dla misyjonarzy, potrzeba dość znacznej kwoty, a my niestety nie rozporządzamy nią wcale. Ośmielam się więc polecić tę kwestyę modlitwom, oraz jałmużnom litościwych dusz, które odczytają niniejsze sprawozdanie. Ileż to błogosławieństw w życiu doczesnem i wieczności spłynie z pewnością na tych wszystkich, którzy do budowy świątyni dla Matki Boskiej Japońskiej choć jedną dorzucą cegiełkę!

Sekty anti-katolickie grożą coraz bardziej zalaniem tego kraju, należy więc przeciwstawić im Tę, o której śpiewa Kościół, że Ona jedna tylko wszystkie na całym świecie pokonała herezye. *Cunctas haereses sola intemisti in universo mundo*. Jeżeli zdołamy zbudować na Jej cześć wielki i okazały kościół, to przyciągnie on z pewnością oczy i serca pogan, oraz stanie się rękoiścią niezliczonych nawróceń.

Cesarstwo japońskie zawiera przeszło 40 milionów mieszkańców, ilość zaś naszych wiernych nie dosięga jeszcze 50.000. Od pięciu lat wszakże cieszymy się zupełną religijną swobodą.

Naród japoński jest niezaprzeczenie najinteligentniejszy i najcnotliwszy z pomiędzy wszystkich pogańskich ludów, jakie istnieją na świecie. Dlatego też św. Franciszek Ksawery nazywał Japończyków »rozkoszą swego serca«. Jeżeli, jak się spodziewamy, naród ten się nawróci, to wywrze z pewnością korzystny wpływ dokoła siebie i odda Kościołowi ogromne usługi.

W danej chwili mam do ewangelizowania 93 gminy bardzo gęsto zaludnione i zawierające 2500 wsi lub miasteczek, oprócz wielkiego miasta Kumamoto. Jestto obszar

¹⁾ Jest nim X. J. M. Corre, autor niniejszego artykułu.

(Przyp. Red. Miss. kat.).

znacznie większy od kilku razem wziętych dyecezyj europejskich. Dopomaga mi w pracy pewien kapłan krajo-
wiec, mieszkający ztąd o mil 12, z którym się zjeżdżamy
każdego miesiąca dla wypowiedania się jeden przed dru-
gim. Nadto mamy tu do pomocy dwie Siostry Francuzki,
które wynajęły sobie niewielki domek w Kumamoto,
aby pracować nad nawróceniem pogańskich kobiet.

Kumamoto zawiera 100 świątyń, gdzie szatan od
dawna odbiera już hołdy. Czyż nie należałoby więc
wzniesć tu choć jeden przybytek dla Tej, która starła
mu głowę, to jest dla Najśodszej Dziewicy Maryi?

—x—

Z Kartaginy do Sahary,

przez X. M. Bauron'a.

(Ciąg dalszy).

—o—

VIII.

Krainy Matmata i Araad należą dotąd do najmniej-
znanych i najrzadziej zwiedzanych, a to dlatego, iż
niema tam ani dróg, lub hoteli, ani środków przewozu,
lub najmniejszej nadziei znalezienia żywności. Biada tu-
ryście, który odważy się puścić samotnie w podróż, nie
poleciwszy poprzednio swej osoby opiece władz wojsko-
wych, krajowcy bowiem będą go unikali i nie dadzą
mu nawet szklanki mleka, tak, że wkrótce wycieńczony
głodem, padnie w nieznanym jakimś zakątku, aby już
więcej nie powstać.

Co do mnie, to nie potrzebowałem się obawiać
tak smutnej ostateczności, gdyż dzięki rozkazom otrzy-
manym z góry, każdy szejik ofiaruje mi gościnność
w swym domu i udziela przewodnika, który mię od-
prowadza do następnej wioski. Na przygodach jednak
i niebezpieczeństwach bynajmniej mnie nie zbywa, cią-
gła zaś jazda konna po skałach i piasku, oraz wśród
nieznośnego upału, wyczerpuje znacznie moje siły. Dla-
tego też tę część podróży mogę uważać za najbardziej
nużącą, a zarazem obfitującą w wypadki i wrażenia.

Z Hadezu do Beni-Zalten i Tujany jadę przez
wąwozy lub strome stoki, przypominające mi niekiedy
swą malowniczością najpiękniejsze zakątki Szwajcaryi.
Pomiędzy nimi wszakże a Alpami wielka istnieje róż-
nica. Najprzód góry tutejsze nie są tak wysokie, jak
alpejskie szczyty, powtórę miejsce sosen zajmują tu
palmy, a wreszcie zamiast wodospadów i potoków, wi-
dać tylko wyschłe ich łożyska. Przewodnik idzie pieszo,
nie zwracając najmniejszej uwagi na to, że bosc jego
nogi stąpają po malutkich, ostrych jak szkło kamieniach.
Daleko mniej nieczułym jest mój koń, którego jazda po
kamienistym gruncie nader szybko męczy.

Tu znowu mamy jakiś łańcuch górski do przeby-
cia i musimy piąć się w górę po waziuchnej ścieżce,
wijącej się wężykowato, aż do samego szczytu, pozło-

conego promieniami słońca. Skaliste pieczary mieszkań-
ców Beni-Zalten bieleją zdala jak marmurowe pałace
i piętrzą się jedne nad drugimi, jak stopnie olbrzymich
schodów, tak, że zaczynam wątpić, czy to góra stanowi
te mieszkania, czy też one właśnie utworzyły górę.

Po chwili krajowcy wybiegają na me powitanie,
aby się przypatrzeć nieznanemu podróżnemu, z pod
burnusa którego wyziera ciekawie europejski kapelusz.
Należy też przyznać, że jak w Beni-Zalten, tak też
i w innych wioskach, Berberowie okazują mi szacunek,
jako inspektorowi francuskich marabutów, gdyż jedyny
prawdziwy marabut w tej krainie, to jest proboszcz
z Gabesu, nigdy do tych gór nie dotarł. Ja w istocie
jestem pierwszym kapłanem, który się przedarł aż do
Tujańskiego płaskowzgórza. Wszyscy też krajowcy spo-
glądają na mnie, jak na nadprzyrodzoną istotę, ponie-
waż telegraf, para i inne najnowsze wynalazki, wpro-
wadzone do tego kraju przez Europejczyków, wywierają
tak silne wrażenia na umysłach tubylców, że każdy cu-
dzoziemiec uchodzi w ich oczach przynajmniej za nie-
pospolitego czarownika.

Po za Tujaną, której wysokość nad poziomem
morza wynosi 600 przeszło metrów, krajobraz staje się
mniej dzikim, a stoki górskie mniej stromymi. Przez czas
niejaki jadę nad brzegiem niewielkiej rzeki, czyli Uedu,
toczącego przezroczystą jak kryształ wodę. Powoli na-
wet roślinność coraz bogatszą się staje. Wyjeżdżamy
o czwartej rano, a w kilka godzin później upał, pomimo
lekkiego wietrzyku, zaczyna nieznośnie nam dokuczać.

— Sidi — woła do mnie spahis — która godzina?

— Jedenasta.

— Może więc chcesz zjeść śniadanie?

— A ty, czy będziesz jadł ze mną?

— Nie, nie mogę, bo to post, za złamanie któ-
rego musiałbym potem odpokutować kilkudniowym
postem.

Spostrzegłszy kawał pola i niewielki gaik, puszczam
konia na trawę, sam zaś pod rozłożystym drzewem
figowem zabieram się do śniadania i ofiarowuję memu
przewodnikowi pieczone kurczę na wieczrę. Fanatyczny
jednak Berber nie chce go przyjąć, ponieważ ptak ten
nie został zabitym podług przepisów koranu i woli
cierpieć głód, niż zgwałcić to prawo.

Po półgodzinnym odpoczynku puszczam się w dal-
szą drogę, w celu przebycia ostatniego łańcucha, któ-
rego wyębione stoki wyglądają jak pokrajane olbrzy-
mim jataganem. Słońce już zniża się ku zachodowi,
kiedy nareszcie staję na dolinie, z której przepyszny
roztacza się widok. Na niezmierzonej przestrzeni ciągną
się łąki, przerywane tu i owdzie grupami dzikich gra-
natów, zielonych dębów, mastyków i palm daktylowych.
Co chwila z pod nóg naszych koni zrywają się kuro-
patwy, a dzielny mój spahis zatrzymuje się w każdym
gaju, biorąc na cel nieszczęśliwe ptaki. Niestety, chociaż

twierdząc, że należy przede wszystkim ześrodkować siły wojskowe w Araadzie, który leżąc pomiędzy Saharą a morzem, jest jedyną drogą otwartą dla obcego najeźdźcy. Żona komendanta jest jedyną kobietą, która się nie bała towarzyszyć swemu mężowi do dzikiej tej krainy, żaden bowiem inny Francuz, obciążony rodziną, nie zdecydował się zapuścić w głąb kraju po za obrębem Gabesu.

Łatwo zrozumieć, z jaką radością po tylu niewygodach i włóczęgach od pieczary troglodyta do koczow-

niczego namiotu, znalazłem się w domu prawdziwie europejskim, gdzie mnie czekały życzliwe twarze, ożywiona rozmowa, słowem wszystko to, co cywilizowane cechuje społeczeństwo. Trzeba być przez czas niejaki pozbawionym towarzystwa Europejczyków, aby należyście ocenić jego powab.

Nazajutrz oficerowie zapraszają mię do obozowej kaplicy dla odprawienia Mszy świętej, podczas której, jak to z pociechą mogą zaznaczyć, zachowanie się całej załogi było prawdziwie wzorowem. Obóz leży na wa-



Tunetania. — Jarmark w Menzeli wśród Gabesu; podług fotografii.

piennem płaskowzgórzu i składa się z wielu ładnych budynków, ale brak drzew czyni go posępnym. Natomiast w wąwozie, dzielącym go od samego Medeninu, leżą przepyszne ogrody podobne do oaz. Ogrody te skrapiają liczne strumienie, dostarczające wybornej wody, która użyźnia grunta. Z drugiej strony wąwozu rozciąga się Ksar z całym szeregiem swych spichlerzy, czyli *rorfów*, skupionych dokoła meczetu.

Ksar medeniński jestto rodzaj warowni, w obrębie której mieści się mnóstwo spichlerzy mających kształt olbrzymich walców, i składających się z czterech, a nawet pięciu piąter. Zewnętrzny mur jest dość wysokim i posiada jedną tylko bramę, od której wązkie, kręte

uliczki prowadzą na niewielkie place. Kamienie wystające z muru służą zamiast schodów, sznur zaś zwieszony od góry do dołu, pomaga do dalszego wdrapywania się na piętro i utrzymania równowagi na nierównych głazach.

Pokoje mieszkańców Medeninu są zarazem spichlerzami lub magazynami, w których koczownicy przechowują zboże, jarzyny, oliwę, wełnę, daktylę i inne zapasy. Na środkowym placu mieści się chata strażnika, obowiązane otwierać i zamykać codziennie bramę Ksaru, oraz przechowywać u siebie klucze od każdego *rorfu*.

W Metamerze podobne Ksary, a raczej Ksury, tak

bowiem krajowcy zowią je w liczbie mnogiej, mają dachy okrągłe i wyglądają zdaleka, jak długi szereg ulów. Kamienne te ule służą również za spichlerze. Przeciwnie w Beni-Barce i Beni Zalten, dach *ksurów* bywa zwykle płaskim, a Berberowie suszą na nim oliwki, kukurudzę i pestki daktylowe, służące w zimie za pokarm dla wielbłądów.

W dzień Ksar medeniński staje się prawdziwym targowiskiem, zjeżdżają się tam bowiem koczownicy z całego Araadu, a nawet z południowej Tunetanii. Niejednokrotnie na ogromnym tym rynku można napotkać do 20.000 ludzi, którzy oprócz płodów rolnych, sprzedają lub kupują broń i proch, po większej części przemycany. Ksar w Metamerze jest daleko starszy, ale mniej rozległy i służy za skład zapasów dla plemienia Tuazinów.

Całą niemal równinę, ciągnącą się po za górami Matmata, zamieszkuje plemię Uerghemmów, powstałe z połączenia dawnych Berberów z Arabami. Plemię to dzieli się na cztery grupy czyli tak zwanych Kessurów na północo-wschodzie, Tuazinów na południo-wschodzie, Udernów na południu i Akkarów na wschodzie.

Koczownicy Uerghemscy trudnią się przeważnie hodowlą trzody, uprawą roli i zbieraniem rozmaitych płodów drzew owocowych. Naturalnie rolnictwo pozostawia wiele do życzenia, na gruntach bowiem choćby najbardziej zdatnych do uprawy, nie można się żadnego spodziewać plonu, jeżeli rok będzie suchy. Cztery miesiące w roku upływają Uerghemmom w ksurach, dokąd przybywają oni po żniwach, to jest w czerwcu i bawią aż do października czyli do pory deszczowej. Przez resztę roku obozują pod namiotami, albo też w chatkach ze słomy, trzciny i gałęzi. Roje owadów zmuszają ich do częstej zmiany miejsca, stanowiąc jedną z przyczyn koczowniczego trybu życia.

Skoro tylko chmurka ukaże się na widnokręgu, natychmiast jeźdźcy lecą galopem do miejsca, na którym deszcz spadnie, za nimi zaś całe plemię podąża tam niebawem. Pochód otwiera kilku Arabów, gotowych do odparcia nieprzyjaciela, wielbłądy dźwigają zapasy, sprzęty, naczynia kuchenne, sznury i tyki do rozbijania namiotów, za nimi biegną owce i kozy, strzeżone przez psy, kobiety zaś, dzieci i starcy zamykają orszak posuwający się powoli, aby wszystkie domowe zwierzęta mogły się paść po drodze.

Wieczorem po rozbiciu namiotów i roznieceniu ognisk, kobiety przyrządzają wieczerzę czyli *kuskus*, mężczyźni zaś palą długie fajki, rozmawiają i śpiewają.

Śpiewy te i rozmowa ciągną się nieraz do późnej nocy, nazajutrz zaś jeżeli nie widać chmur deszczowych, koczownicy rozpoczynają znów swą wędrówkę, ale bez pośpiechu, powoli i spokojnie, jak przystoi filozofowi pustyni. »Bóg, mówią, dał dość czasu na wszystko, ludzie więc nie potrzebują się obawiać, aby go im kiedy-

kolwiek zabrakło«. Po przybyciu na oznaczone miejsce, całe plemię uprawia grunt skropiony dobroczynnym deszczem, zasiewa go i podąża dalej na południe, aby wrócić ztamtąd dopiero na żniwa.

Niegdyś wszystkie te niespokojne, wojownicze i rozbójnicze plemiona urządzały ciągłe *razzie*, czyli napaści na terytorya swych sąsiadów, a zwłaszcza Dżebaliów. *Razzie* takie kosztowały ich nieraz dużo krwi, ponieważ napastnicy, wiedący ze sobą powolne, lekkie trzody, nie mogli w razie porażki dość rychło się cofnąć.

Spostrzegłszy z oddali nieprzyjaciela, pasterze dawali hasło przeciągłymi okrzykami, lub bili w tobole czyli bębny, których głuchy dźwięk przy pomyślnym wietrze słychać z odległości 30 kilometrów. Wówczas jeźdźcy zbierali się razem, aby się puścić w pogoń za nieprzyjacielem, obładowanym łupami i nie tracąc czasu odebrać mu zdobycz.

Życie koczowników było więc ciągłą niemal walką. Dziś jeszcze w wielu miejscowościach strażnicy czuwają pilnie nad dolinami i żaden obcy jeździec nie ujdzie ich oka. Jeżeli zaś wyda się podejrzanym, w takim razie musi niejednokrotnie wracać do miejsca, zkad przybył. Od niejakiego wszakże czasu, walki i napaści stają się coraz rzadszemi.

Byłem bardzo uderzony serdecznem i poufałem obejściem, jakiego doznawałem ze strony koczowników podczas zwiedzania medenińskiego kсарu. Pewnego dnia poszedłem tam z komendantem, aby się przypatrzeć berberyjskiemu targowi i przez czas długi krążyliśmy obaj w prawdziwym labiryncie ulic, wpośród wielbłądów, z których zdejmowano juki, osłów obładowanych workami z jęczmieniem, kobiet zajętych składaniem jarzyn lub przygotowywaniem tłomoków do bliskiej wyprawy, nagich dzieci i wojowników w ogromnych *mzalach* czyli kapeluszach, podobnych raczej do parasoli. Wszyscy ci ludzie witali nas zdaleka, jak przyjaciół, szejkowie zaś podawali nam dłonie i obsypywali serdecznemi *salem*.

Głównym przedmiotem berberyjskiego handlu o ile zauważyłem, są sznury, tytoń, rozmaite gatunki zboża, owoców i jarzyn, a wreszcie szarańcza. Sznurów potrzebują koczownicy do studzien i namiotów, bez tytoniu żaden poczciwy Berber ani dnia jednego wyżyć nie potrafi, szarańcza zaś jest ulubionym ich przysmakiem.

Dolina Araad, chociaż z natury żyzna, nie jest wcale uprawianą pod zboże, gdyż koczownicy szukają przede wszystkim dobrego pastwiska. Dlatego też na ogromnych przestrzeniach rosną tylko karłowate krzewy i trawy, wśród których zauważyłem wiele mirtów, rozmarynów, lawendy rosnącej ogromnemi kępami, szaławii i roślinę zwaną *drin*, ulubioną przez wielbłądy.

Dokoła Ksurów ciągną się całe szeregi koczowniczych namiotów, które na tle zielonem wyglądają jak

czarne plamy. Liczne trzody, szczekanie psów, okrzyki jeźdźców, wyprawiających gonitwy, a wreszcie dym ognisk, zdradzają zwykle sąsiedztwo tych nędznych siedlisk ludzkich, ukrytych najczęściej w głębi wąwozu, tak, że na pierwszy rzut oka dostrzedz ich niepodobna.

IX.

Ponieważ po wielu trudach dotarłem wreszcie do dawnej ojczyzny Lotofagów, a dzisiejszego terytorium Uerghemmów, postanowiłem je więc zwiedzić w całej rozciągłości. Ostatnim posterunkiem wojskowym, wzniesionym w tej krainie, jest nie Medenin, ale Fum Tatahuin, leżący o 56 kilometrów dalej na południe. Fum oznacza wąwóz, a Fum-Tatahuin jest jakby przesmykiem pomiędzy dwiema rzekami i stanowi pogranicze pomiędzy Saharą a odnogami Nefranańskiego łańcucha, ciągnącego się ku Trypolitanii. Po za nim rozpoczyna się niezmierny ocean piaszczysty, pustynia; samotność, brak wszelkiej roślinności, ogromne obszary ziemi, jakby wyklętej, którą przebiegają od czasu do czasu tuaregscy awanturnicy, ale która sama przez się nie tylko nie żywi ludzi, ale zdaje się odpychać każdego, kto ma chęć do życia.

Starożytna Berberya, to jest Marokko, Alger, Tunis i Tripolis, stanowi jednolitą rozległą krainę, zawartą pomiędzy oceanem, morzem Śródziemnym i Saharą. Od tej ostatniej dzieli ją skały ciągnące się od Draa przez Fignig, Laghuad i Biskrę aż do Gabesu, z kąd się zwracają na południe ku Trypolitanii.

Sahara pokryta w znacznej części jałowem, piaszczystymi obszarami, pozbawiona wody i wszelkich środków egzystencji, musi jednak posiadać jakieś oazy, skoro służy za schronienie kilku plemionom, których warunki życia głęboka osłania tajemnica. To tylko spostrzeżono, że plemiona te oddalają się od swego siedliska na odległość ośmiu lub dziesięciu dni drogi, zaspokajają przez ten czas pragnienie mlekiem swych kóz i owiec, poczem wracają do studzien, dokoła których rozbiły swe namioty. Koczownicy mający swe ksury u podnóża skały, zapuszczają się też niekiedy w głąb Sahary dla utrzymywania stosunków handlowych z mieszkańcami Ghadamesu i Rhattu.

Wogóle Sahara, zamieszkiwana tylko przez parę nędznych plemion, stanowi dla zachodniej Berberyi pod względem komunikacji prawdziwą izolacyjną strefę, będącą daleko większą przeszkodą niż morze, które można przepłynąć.

Co do mnie, to pragnę dotrzeć do ostatniego krańca zamieszkanego terytorium, a komendant dowiedziawszy się o tem, organizuje wyprawę, w której ma mi towarzyszyć major Verdier, porucznik Fage i pewien spahis berberyjski.

Odjeżdżamy w południe. Lekki wietrzyk uśmierza

nieco upał, równina zaś porośnięta trawą, modyfikuje blask promieni słonecznych. Droga jednak jest piaszczystą. Na lewo roztacza się niezmierny widnokrąg aż do Bahira-el-Bibau, stanowi go zaś falista płaszczyna, na którą namioty pasterzy rzucają niby czarne plamy z białymi prążkami. Na prawo grunt podnosi się stopniowo aż do podnóża góry, której nieregularny kontur i wyętbione stoki oblewają szczerze słoneczne promienie.

Po za Seniet-el-Arhub porucznik pokazuje mi na polu zwaliska willi rzymskiej. Potem zatrzymujemy się przy studni El-Ahmer, w pobliżu której wznosi się reduca, postawiona przez francuskie okupacyjne wojska. Spotykamy tam karawanę wracającą z Fum-Tatahuinu. Zmęczone konie i wielbłądy zatrzymują się przy studni przez noc całą, aby dopiero nazajutrz dotrzeć do celu podróży. Niebawem Berberowie rozniecają ogniska i przyrządzają kawę. Straż budynku wzniesionego przy reducie, powierzona jest obecnie pewnej muzułmance o ciemnej cerze, kędzierzawych włosach i potężnych mięśniach. Przynosi ona nam księgę, w której każdy podróżny musi zapisać swe imię, nazwisko i dzień bytności w tem miejscu, prosząc, abyśmy to samo uczynili. Jako ozdobę nosi ona naszyjnik i bransolety z miedzianych, wojskowych guzików, zawieszonych na rzemieniu. Kiedym ją zapytał, gdzie kupiła te klejnoty, odpowiedziała mi po arabsku, iż zabrała je, zamiatając namioty, bo żołnierze francuscy są zadowoleni z tego, że w każdym razie mogą u niej znaleźć to, co sami zgubili.

Dalej nieco Arabowie zwożą słupy jodłowe, składając je w odległości 100 metrów jedne od drugich. Pnie te starannie ponumerowane, mają służyć później za telegraficzne słupy. Po jakimś czasie jakiś Arab, pełniący obowiązki listonosza, pokazuje nam zakrwawioną nogę, która go bardzo boli. Ból ten jednak znosi z rezygnacją, gdyż Allah tak chciał i było to widocznie zapisane w wieczystej księdze przeznaczeń, po krótkiej zaś z nami rozmowie, odjeżdża powoli z dwoma towarzyszami w kierunku Medeninu.

Opodal na niewielkiem wzgórzu jaśnieje biała *kuba* czyli chata Marabuta Sidi Mosbacha. Chata ta, a raczej kaplica z wyłatanem sklepieniem jest celem pielgrzymek wielu pobożnych muzułmanów z plemienia Uderna. Na przeciwległym stoku tego wzgórza droga wiję się zygzakowato po piasku nadzwyczaj delikatnym, na którym tu i owdzie rosną skarłowaciałe tamaryndowe drzewa.

Nagle konie nasze zaczynają biedz z podwojoną szybkością, gdyż w oddali nad łożyskiem wyschniętego strumienia spostrzegły trzech jeźdźców na przepysznych rumakach. Są to spahisowie z Fum-Tatahuinu, wysłani na nasze spotkanie. Wiodą oni ze sobą pięknego, czarnego konia, o żywym oku, gęstej grzywie i ogonie tak

długim, że wlecze się po piasku. Konia tego, noszącego piękną nazwę Mustafy, przysłał dla mnie p. Keck, komendant z Fun-Tatahuinu, abym na nim odbył resztę podróży. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się dosiąść tak rączego i silnego, a zarazem łagodnego i szlachetnego rumaka.

Od pierwszej niemal chwili Mustafa wysunął się na czoło licznego orszaku. Krajobraz jest nudny i monotony, tu i owdzie tylko rosną na piasku kępy lawendy, gromadki kaktusów, lub rozmaite niki krzewy, drogę zaś przerywają niekiedy doły, wyłobione przez wodę po ostatniej burzy, lub przez węże, w które okolica obfituje. Należy więc bacznie zwracać na konia uwagę i nieco ściągnąć lejce, aby się nie potknął o jakąś przeszkodę, lub nie wpadł do rowu.

Trudności te, jako nieprzyzwyczajonemu do konnej jazdy, pochłaniają całą moją uwagę i bardzo się strzegę upadku z konia, któryby mi w oczach krajowców okrył niezatartą hańbą. Wkrótce atoli uspakajam się, widząc z jakim instynktem pocziwy Mustafa przewiduje niebezpieczeństwo, oraz z jaką przezornością umie go unikać.

Tymczasem przestrzeń pomiędzy nami a celem naszej podróży, coraz bardziej się zmniejsza. W oddali zaczynają się zarysowywać północne stoki olbrzymiego górskiego łańcucha Uderna, czerwonego jak rozpalone żelazo, z drugiej zaś strony wąwozu szczyty Taletu, tonące we mgle, która coraz bardziej rozpościera się na dolinie.

Nagle z po za gór wyłania się dość liczne grono jeźdźców, spieszących na me powitanie. Na czele ich jedzie p. Keck, komendant z Fum-Tatahuinu ze swymi oficerami i po kilku chwilach następuje nasze spotkanie, oraz serdeczne *salem*. Mustafa dzielnie się spisuje, nie dając się wyprzedzić innym wierzchowcom, tak, że w przeciągu godziny przebywamy jedenaście kilometrów, dzielących nas od Fum-Tatahuinu.

Nigdy nie zdołam zapomnieć wrażenia, jakiego tam doznałem. Dwa łańcuchy górskie schodzą się razem w tem miejscu, tworząc rozległy trójkąt. Do obozu wiedzie szeroka droga, po obu brzegach której leżą olbrzymie głazy. Na prawo, u stóp stromej skały mieści się niewielki cmentarz, a na nim groby ośmiu francuskich żołnierzy, którzy padli ofiarą febry podzwrotnikowej.

Przed oazą kałuża zielonkawej wody, wydzielająca szkodliwe wyziewy, lśni się jak tafla metalowa od promieni zachodzącego słońca. Dalej nieco wspaniały widnokrąg zamykają przepyszne palmy, pod których cieniem miło byłoby spocząć, gdyby blizkie sąsiedztwo bagniska nie groziło niebezpieczeństwem.

Po stronie lewej, na płaskowzgórzu panującym nad rzeką i oazą, a przypartem do ogromnej skały,

nagiej, jałowej, posępnej, na której widać liczne ślady walki ze słońcem i *sirocco*, wznoszą się dumnie trzy wielkie budynki. Pierwszy należy do biura wywiadowczego, drugi stanowi koszary czwartego afrykańskiego batalionu, trzeci zaś zawiera biuro telegraficzne i pocztowe. Przed każdym budynkiem roztacza się szeroki taras z ubitej ziemi, tu i owdzie nawet zielenią się świeżo założone ogródki, pomiędzy którymi bieleją kształtne domki rozmaitych urzędników.

Konie przywiązane do słupa stoją sobie w dzień na słońcu, w nocy zaś pod gwiazdzistym sklepieniem. Na tarasie biura wywiadowczego siedzi kilku szeików sąsiednich plemion, przybyłych dla załatwienia rozmaitych kwestyj. Pod oknem przeznaczonego dla mnie pokoju, obrały sobie siedlisko dwa kruki, trzy gazelle i sowa, ciesząca się zupełną swobodą i przez noc całą oba kruki krakają żałośnie, skarżąc się na wiatr, który na wszystkie strony niemi miota.

W oddali na południu, oraz na prawej i lewej stronie spostrzegam góry tak dziwaczne, jakich mi się nigdy nie zdarzyło widzieć w Alpach lub Pirenejach. Na wielu stromych stokach czernieją zwaliska opuszczonych wiosek. Tu i owdzie stoki są zupełnie gładkie, jakby ręką ludzką zaokrąglone, dźwigające na szczycie ogromne poziome płyty, dłuższe oraz szersze od swojej podstawy. Są to tak zwane *kalaa*.

Podobne arabskie *kalaa* napotykają się bardzo często w górskim łańcuchu, dzielącym tę część kraju od Sahary. Kilka z nich nosi widocznie ślady tego, iż dawniej musiały stanowić jedną całość, która się rozpadła pod wpływem silnego geologicznego wstrząśnienia, lub parcia olbrzymiej masy wód. Załączona rycina na str. 144 daje pojęcie o tych fantastycznych stokach, widzianych ze szczytu Duiretu, ale w okolicach Fum-Tatahuinu charakter ich bardziej jeszcze jest dziwnym.

W wielu rozpadlinach skał i głębokich wąwozach oko odkrywa niespodzianie malutkie oazy, przerznięte strumieniami i ocienione palmami. Oazy takie u Arabów noszą nazwę *ogletów*. Po nad niemi, na stokach i szczytach ukazują się tu i owdzie zwaliska dawnych berberyjskich wiosek, niegdyś zamożnych i malowniczych, dziś opuszczonych i zniszczonych. Od chwili jednak, w której w całym kraju zapanował spokój i porządek, coraz więcej właścicieli zgłasza się o odbiór dawnych swych posiadłości, jakie może przez lat kilkaset pozostawały w rękę ich rodzin, wytaczając procesa koczowniczym Udermom za niesprawiedliwe wywłaszczenie swych przodków.

Z drugiej strony liczne plemiona, które dawniej nie chciały tuniskim bejom płacić wymaganej daniny i krążyły nieprzerwanie pomiędzy Trypolitanią a Duireckimi górami, w strefie prawie neutralnej, leżącej

na pograniczu, domagają się dziś pastwisk dla licznych swych trzód, odmawiając jednakże podatku.

Jeden z szejków tych plemion składa w biurze wywiadowczem następujący list, który przytaczam dosłownie, jako autentyczny dokument, dający poznać daleko lepiej pojęcia, przekonania, usposobienie, charakter i zwyczaj koczowników, niż najdłuższe opisy i uwagi.

»Chwała jedyne-
mu Bogu, łaski
błogosławieństwa
temu, który jest jed-
ynym Jego pro-
rokiem!

»Do czcigodnego,
najlepszego, naj-
czcigodniejszego
go szejka, droższego
nam od wszel-
kich innych istot,
brata naszego w Bo-
gu i najlepszego
przyjaciela, który
choć nieobecny
przed naszym
wzrokiem, mieszka
stałe w naszych
sercach! Do tego,
kto jest naszą pod-
porą, prawdziwym
opiekunem, a zara-
zem najsprawiedli-
wszym, najuczciw-
szym, najrozum-
niejszym zwierzch-
nikiem! Oby Bóg
podniósł go do naj-
wyższej godności
i obsypał pomyśl-
nością, oraz wszyst-
kimi powabami
ludzkiego istnienia!

Oby go umieścił na
ziemi pomiędzy najszczęśliwszymi jej synami, na tamtym
zaś świecie pomiędzy męczennikami (za muzułmańską
wiarę)! Oby go okrył płaszczem swej opieki, przebaczył
mu wszystkie winy i wyznaczył miejsce w swym raju!
Oby go bronił łaskawie od okropnych męczarni i katu-
szy piekła, czuwał nad nim podczas podróży i we

wszelkich okolicznościach, oraz wiódł go zawsze drogą
sprawiedliwości i prawdziwego dobra!

»Ten, który pisze niniejszy list, znanym jest po-
wszechnie ze swej uczciwości i nazywa się szejek Mabruk-

ben-Messaur. Oby
łaska, miłosierdzie
i błogosławieństwo
Boże było zawsze
nad wami! Do na-
pisania tego listu
skłania mię chęć
utrzymania z wami
zgody i pokoju, je-
żeli tak Bogu się
podoba.

»Jeżeli, czcigo-
dny przyjacielu,
obchodzą ci twoi
bracia, to mogę ci
donieść, że wiedzie
nam się dobrze i zu-
pełny spokój wśród
nas panuje, oraz, że
troszczymy się
szczerze o wasze
dobro i szczęście.

»Jednakże dowie-
dzieliśmy się nie-
dawno, o szejku
nad szejkami, że
ojczyzna twoja i
i twój szejek są na
nas oburzeni z po-
wodu oszczerstw,
jakich staliśmy się
ofiara. Oby Bóg
ukarał złośliwych
i za wstawieniem
się naszych przod-
ków, zesłał na nich
wszelkie możliwe
nieszczęścia! Jeżeli
dotąd niegodziwi
ci ludzie posiadali
błogosławieństwo
niebios, to niech
odtąd klęski i utra-
pienia staną się ich

udziałem! Trzeba koniecznie, mój bracie, abyś dał po-
znać swemu wodzowi nasze położenie i sposób życia,
który pozostanie na przyszłość takim, jak był dotychczas.

»Nie zależymy od władzy wschodniej (Trypolisu),
ani od zachodniej (Tunisu), jesteśmy bowiem pasterzami,
a namioty nasze pomiędzy temi krajami, naturalną



Tunetania. — Chybiony strzał przewodnika w drodze z Beni-Zalten do Medeniny.
(Zob. str. 115 i 116).

stanowią granicę. Przebywamy ciągle w miejscowościach pustych, bezludnych, pomiędzy Trypolisem a Tunisem, a chociaż większa część naszych obozuje w Tunisie, nie mamy wszakże żadnego terytorium, którebyśmy mogli sobie przywłaszczyć, ani studzien, z kąd moglibyśmy odegnąć innych, ani nawet okolicy wyznaczonej sobie za miejsce stałego siedliska, której mielibyśmy prawo nazwać się mieszkańcami. Nie posiadamy więc ani ziemi, ani wody, ani żadnej nieruchomości. Trzody nasze pasą się swobodnie na terytorium wschodniem i zachodniem, gdzie od czasu do czasu zasiewamy kawał gruntu, spędzając tam niekiedy parę miesięcy.

»Nie jesteśmy intrygantami, kupcami lub wojownikami. Owszem, wojować nie możemy wcale i jeżeli zasiewamy zboże, to dlatego, aby mieć się czem wyżywić, jeżeli zaś rozbijamy namioty, to dla łatwiejszego czuwania nad trzodami, pasącymi się w pobliżu. Nie należymy również do ludzi, przywłaszczających sobie cudze mienie i od samego początku naszego istnienia nie odznaczaliśmy się nigdy chciwością. Takimi byli nasi przodkowie, takimi my jesteśmy i takimi będą nasze dzieci. Zapytaj swego wodza o radę, bo jeżeli mu zawadzamy, to nie pozostaje nam nic innego, jak opuścić tę krainę. Jeżeli zresztą chcecie, to możecie zająć nasze terytorium, my zaś przeniesiemy się do waszych obozów. I dziś już bowiem większa część naszych braci przebywa w Tunetanii.

»Kraj należy do tego, kto go posiada, czy zaś nazywa się Tunetanią, czy Trypolitanią, cóż nas to obchodzi? Gdybyśmy byli sułtanami, moglibyście powiedzieć, że wdzieramy się nieprawnie na wasze terytorium. Ponieważ jednak jesteśmy biednym koczowniczym ludem, nie możemy więc powiedzieć, że ten kraj do nas należy, a tamten do innych.

»Tam gdzie Bóg ześle deszcz, uprawiamy rolę i pasiemy trzody, nigdy jednak nie przebywamy długo w żadnym kraju, aby go sobie przywłaszczyć, a nawet żadnej studni i rzeki za własność swą nie uważamy. Ci, którzy mówią, że plemię Beni-Smeida knuje intrygi, lub rości pretensje do jakiej krainy, są niegodziwymi kłamcami. Niech tu przyjdą, aby powtórzyć przy nas swe oszczerstwo, a przekonają się, co to znaczy kłamać!«

Podobne listy bywają zresztą składane bardzo często w biurze wywiadowczem, lub wręczane rozmaitym francuskim urzędnikom. Szef biura wywiadowczego mieszka już w Tunetanii od lat przeszło dwunastu, oraz zwiedził wszystkie niemal jej zakątki północne, południowe i środkowe. Dzięki swemu doświadczeniu, doskonałej znajomości Arabów, biegłości w ich języku, oraz łagodności połączonej z energią, zdobył on sobie uznanie i szacunek wszystkich muzułmanów, którzy się go boją, a zarazem kochają. Jemu też zawdzięczam, że w przeciągu dwóch miesięcy zwiedziłem całą Tune-

tanią i dotarłem aż do południowej granicy, to jest do krainy Ksurów, zamkniętej dla każdego, kto nie może się poszczycić pozorną choćby opieką władz rządowych. (Dok. nast.).

Z RUMUNII.

List X. Andrzeja Czarnoty, administratora parafii Horlesti do X. A. W.

Horlesti, dnia ^{28 lutego}_{12 marca} 1894 r.

Choć mię Pan Bóg w tych czasach ciężko doświadczał, przyznam się jednak, że mogłem być mimoto znaleźć chwilkę czasu i odpowiedzieć na Ojca list. Z własnej więc winy dopiero teraz odpisuję, za co jednak sędzę, uzyskam ze strony Ojca przebaczenie. Z moją chorobą rzecz się tak miała:

W dzień zaduszny 1893 r. śpiewać musiałem na cmentarzu od 9 godziny rano do 5 popołudniu na grobach, tak zwane *Prohody*. Jest to zwyczaj rumuński, który więcej kosztuje księdza, niż mu korzyści przynosi. W dzień zaduszny niesie każda baba na cmentarz tyle bocheneczków chleba (cena 15 bani = 7 cnt.) i tyle świeczek (kawałki stoczka), ile ma zmarłych. Bochenki układa na grobie, świeczki zapala, przylepia do krzyża i czeka na księdza, póki z kolei do niej nie przyjdzie. Ksiądz tyle razy odśpiewać musi z organistą *Libera me Domine* z modlitwami, ile jest bochenków chleba i świeczek; po śpiewie kropi grób, kadzi i idzie dalej do następnego grobu, i tak dalej bez końca. Organista i kościelny zbierają chleby i resztki świec, aby się potem z księdzem podzielić; jedną trzecią biorą dla siebie, dwie trzecie części idą dla księdza. Na tych to *pocho-dach* zaziębiłem się silnie. Przez długi czas cierpiałem ból głowy, gorączkę, aż dnia 8 grudnia po Sumie i rumuńskim kazaniu, krew mi wybuchła z ust. Nie tracąc głowy, zjadłem zaraz prawie topek soli i robiłem co mogłem, mimo to plućem krwią przez kilka tygodni, aż wreszcie kres tej chorobie położyła druga, t. j. influenza czyli »florencya«, jak mówi Brat S., mój towarzysz zakonny. Leżałem w ciągłej gorączce i przez 7 dni nic prawie do ust nie brałem.

W gorączce pisałem ołówkiem listy do O. Prowincyała, ale potem odłożyłem je i nie wysłałem. W parafii wielu było chorych, tuż nadchodziły święta Bożego Narodzenia, a ja chociaż się chwilowo podniosłem, jednak nie mogłem się utrzymać na nogach. Ostatecznie wybrałem się do Jass po pomoc i po jakiego zastępcę. Przeleżałem w Jassach dwa dni i sam powróciłem do domu, gdyż zastępcy znaleźć nie mogłem.

W pierwszy dzień Bożego Narodzenia miałem trzy Msze święte, a mróz był tak wielki, że wino nieco ogrzane przed *Offertoryum*, przy konsekracji było już całkiem zmarznęte, to też ten ciężki dzień położył mnie

znowu do łóżka i Mszy świętej nie miałem aż na święto Trzech Króli.

Z łóżka wyrwał mnie posłaniec z Kotuar, wzywający do chorego. Do Kotuar z Horlesti ubocznymi drogami jest przeszło 40 kilometrów, jechałem jednak drogą wygodniejszą, lecz 70 kilometrów długą, co zmęczyło mnie bardzo. Spełniwszy przy chorym powinność, nie mogłem już wracać i nie wiele brakowało, żebym nie umarł. W Kotuarach trzy dni i trzy noce przeleżałem chory, na samych deskach, bez opieki i pomocy. Niemożliwość położenia zmusiła mnie mimo choroby do powrotu. Z wielkim bólem w kościach wybrałem się w podróż do domu. Tu znowu było źle, tak, że przez kilka tygodni jeśli raz miałem Mszę świętą, to potem musiałem zaraz parę dni przeleżeć w łóżku. A tu jak na złość influenza, tyfus i zapalenia zapanowały w Horlesti. Od pięciu do ośmiu chorych musiałem odwiedzać codziennie, sam będąc od niejednego słabszym.

Na dobitek z przemrożenia i wysiłku (tak twierdził doktor), porobiły mi się rany i wrzody na nogach, wielkości dna od szklanki. Na samej prawej nodze miałem takich ran trzynaście, a do koła każdej po pięć mniejszych. Wyglądało to, jak dwie kury z piskletami. Ta słabość może najwięcej dała mi się we znaki, gdyż przez dwa tygodnie spałem, siedząc tylko na krześle i to na samej krawędzi; inaczej siedzieć nie mogłem dla ran, które dotkliwie dolegały i kłuły jak gwoździe, przytem żyły tak mi się wyciągnęły, że z trudnością mogłem nogą ruszać.

Wyobraź sobie O. Alojzy, co czułem, kiedy w tym stanie trzeba było wyłazić na wózek i z niego schodzić, a cóż dopiero w czasie samej podróży. A jednak w tych najgorszych dwu tygodniach zrobiłem drogi na wózku 265 kilometrów, a przez 6 dni w drodze żyłem tylko mamałgą i cuchnącem źle przyprawionem mięsem wieprzowem, a było to przecież po influenzyi, po dyecie. Albo co Ksiądz na to powie? Ja leżę słaby w owych Kotuarach, a mój braciszek, który sam został w Horlesti (służący Dymitr ze mną pojechał), dostaje tak silnego reumatyzmu, że z łóżka ruszyć się nie może. Krowa z jałówką w stajni, świnia i pełno drobiu, wszystko to głodne ryczy i pości przez półtora dnia, braciszek opuszczony nie może się ruszyć; nie miał mu kto nawet w piecu zapalić, ani podać coś do zjedzenia, a tu na dworze zima aż strach bierze. Wracam do domu i zastaję go w tym stanie; zimno w całym domu, nic nie ma do zjedzenia. Gotuj dopiero razem z parobkiem jaja, herbatę i t. d.

Ot tak się to człowiekowi na tej misyi przydarza, lecz przytem jak złe przeminie, to sobie razem z Bratem jeszcze i teraz w marcu wieczorem kolendy zaśpiemamy i jakoś idzie.

Kupiłem sobie nowego konia »Wasyła«, który z dawnym koniem moim »Niemcem«, jest jednej maści

i wzrostu. Idą w zaprzęgu jak pioruny, aż się nieraz pytają ludzie: co to za bojar jedzie?! Furman Dmytro musi być zawsze przy nich, boby uciekły. Dobrze i to, bo nigdy do karczmy wstępować nie może.

Po twoim O. Alojzy odjeździe przybyło jeszcze to i owo. Wystawiłem w Horlestach *zemnik*, to jest piwnicę na ziemniaki i jarzynę; pokryłem trzciną i słomą wielką szopę w ogrodzie, gdzie będę wino robił, pokryłem również stajnię, przybudowałem wozownię, wystawiłem nowe chlewy, nakupiłem drobiu, tak, że teraz mam 85 kur, 8 kogutów, 2 kapłony, 2 pantarki, 3 kaczkę, 3 psy, krowę, jałówkę, 5 prosiąt, 430 jaj, 2 konie, no i... jednego Dymitra. W Cioarze i w Pragórze stawiam domy dla siebie i stajnie dla koni, a wystawiłem już jakieś przynajmniej dzwonnice, to jest dachy na czterech wielkich słupach.

Razem z tym listem wysyłam wielkie podanie do p. Ministra oświaty w imieniu katolików, chodzi o to, żeby księdzu i organistów dał rząd trochę ziemi na utrzymanie. Wczoraj otrzymałem od W. O. P. jałmużnę 50 złr. — na suknie będzie dla mnie i Braciszka. — O Braciszka się boję, bo go ciągle kaszel męczy.

Ten list zacząłem pisać o 11^{1/2} w nocy. Przerwały mi noc konie, które gryźć się zaczęły w stajni i rzyć. Trzeba je było uspokoić, boby się były zagryzły. Zaraz potem zawezwano mię do chorego. Pojechałem na koniu z P. Jezusem, noc była błotna, ciemna i okropna. Jechałem lasem, bo chory był to jakiś leśny. Powróciłem rano o godzinie 5^{1/2}. Ot i noc przeszła bez spania. Oczy mi się kleją, kończąc pozdrawiam wszystkich najserdeczniej, pamiętajcie o mnie, gotuję dla was miejsce...

DALMACYA.

(Notatki z podróży w r. 1892).

(Ciąg dalszy).

VI.

Skardona i wodospad Kerki.

Już dawniej zrobiono mi uwagę, że będąc w Sebeniko, koniecznie potrzeba zwiedzić sławny wodospad Kerki. To też oglądawszy wszystko, co było godnego widzenia w Sebeniko, wstałem o świcie dla odprawienia Mszy świętej, boć mały parowiec, jak mi mówiono, już o godzinie 6 rano miał wyruszyć do Skardony, zkąd końmi jedzie się do Kerki. Pragnąłem odprawić Mszę świętą w katedrze przed cudownym obrazem Matki Najśw., do której zawsze mam wielkie nabożeństwo, a staje się ono jeszcze gorętszem przed każdym niebezpieczeństwem. — Nieprzyzwyczajony do morskiej

żeglugi, uważałem podróż małym parowcem po morzu w tym wypadku, co najmniej za niemiłą.

W zakrystyi spotkałem jakiegoś staruszka, kownika katedralnego, który już miał mię uprzedzić w zajęciu ołtarza, lecz dowiedziawszy się o moich planach, a nadto, że jego pobratymcem jestem, z wielką uprzejmością odstąpił pierwszeństwa, dodając, że komu innemu nie tak łatwo by to samo uczynił.

Bardzo wdzięczny byłem tej łaskawości zacnego kapłana, a tem milej odprawiałem tam Przenajświętszą Ofiarę, iż nie tylko w ołtarzu znajduje się cudowny obraz Boga-Rodzicy, ale nadto grób świętego Krzysztofa, którego tradycyjne pośrednictwo i opieka wśród niebezpieczeństw wody, znaną jest powszechnie.

Relikwie tego Świętego otrzymało Sebeniko jeszcze w r. 1454 od pewnego greckiego kapłana, który je zabrał z Konstantynopola w chwili, gdy Muzułmanie opanowali tę wschodnią stolicę cesarstwa.

Zabezpieczwszy w ten sposób opiekę nad sobą Niebios, spieszę do parowca. Lecz jakież było moje zdziwienie, gdy zobaczyłem łódź małą, mogącą zaledwie 15 osób pomieścić, a w środku zamiast jakiegoś kotła i maszyny parowej, coś jakby samowar!

Widziałem wprowadzić podobne i jeszcze mniejsze łódki parowe, na jedną, lub co najwyżej dwie osoby, migające po kanałach weneckich, lecz co innego tam-

tejsze kanały, chociażby Kanał Wielki, a co innego morze i to wobec perspektywy *bo-rej*, którego spodziewano się wskutek nagłej zmiany powietrza.

Na dany znak łódź rusza, a z nią znika moja co prawda dziecinna trwoga. Wyjeżdżamy z sebenickiego portu, który przy rannem oświetleniu jeszcze piękniej nam się przedstawia. Parowczyk zamiast puszczać się na pełnię morza, zbacza w kanał dość wąski, mający po obydwu stronach wysokie skały. Fale morskie, jakby im było za ciasno w tej wąskiej przestrzeni, uderzają o brzegi, lecz twarde głowy stoją niewzruszenie, rozbijają je w pianę i drobne kropelki, ztąd morze się gniewa, huczy i ryczy, i daremnie ponawia swe usiłowania.

Słońce zabłysło, a jego jasne promienie wydobywają z morza,

rosy, wody przyskającej od brzegów, wszystkie barwy tęczy; wszystko się lśni i migoce, jakby na złoto-srebrzystą tkaninę ręka niewidzialna rzucała rubiny, szmaragdy, brylanty. Wtem kanał coraz bardziej się zwęża, przepływamy po pod wiszące nad nami skały, aż dreszcz przebiega z obawy, aby się która nie urwała; trwożli-



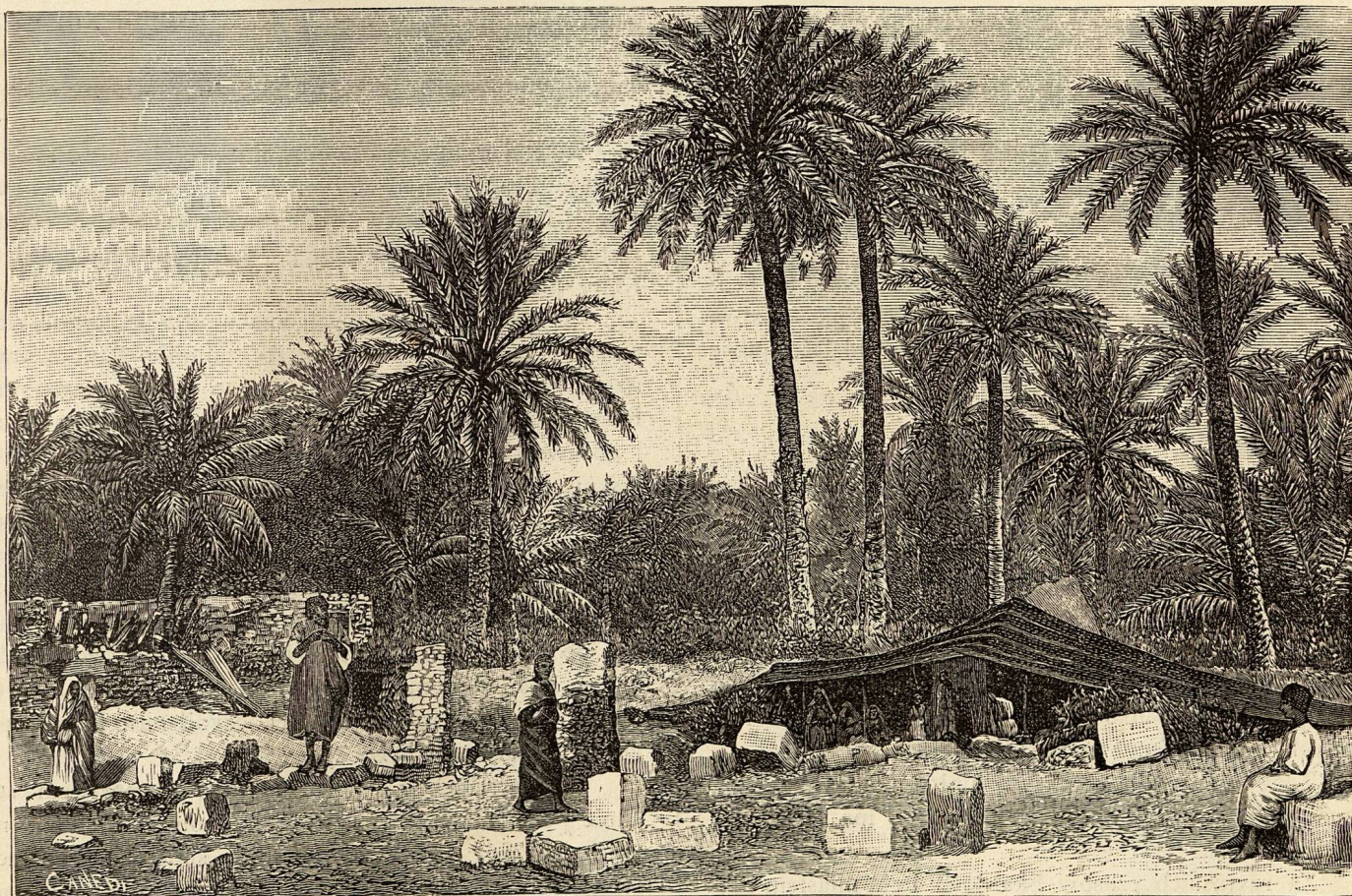
Tunetania. — Ulica w Chenini wśród Gabesu. (Zob. str. 73).

wej fantazyi zdaje się łatwą katastrofa, z kądiną może daleka. Po obydwu brzegach kanału spotykam większe przestrzenie, jakby naturalne porty, to małe wysepki pokryte zielenią, a wśród niej chatkę rolnika, rybaka, to znowu kapliczki lub statuetki Matki Najświętszej i św. Józefa, jedna piękniejsza od drugiej. To są *ex-vota* żeglarzy, którzy uszli niebezpieczeństw ciężkiej morskiej przeprawy. Pobożni Dalmatyńcy, moi na statku towarzysze, uchylają kapeluszy i szepcą modlitwę.

Naraz kanał się zamyka i zdaje się, że niema

wyjścia; oko go nie widzi na razie, bo zasłaniają góry skaliste, tworząc jakby kolosalną salę, której posadzką morze, sufitem strop niebieski, ścianami głazy. Łódź zbacza prawie w prostokątnym kierunku, wiję się wśród labiryntów skalistych i wydostaje na otwarte wielkie jezioro.

W dali na wysepce błyszczy biały kościółek, a na nim lśni się od słońca godło zbawienia. Jest to wysepka Proklian i zatoka morska a raczej jezioro tegoż nazwiska.



Tunetania. — Szalas w oazie El-Hamma wśród Gabesu; podług fotografii. (Zob. str. 106).

Przewidywana *borea* zaczyna się coraz bardziej srożyć. Łódź nasza chwieje się na wszystkie strony, fale uderzają wysoko, od czasu do czasu zlewając nam suknie, nawet całą twarz. Zdaje się, że zatoniemy, pot zimny oblewa mi czoło, jedną ręką trzymam się silnie poręczy, drugą jak mogę, notuję wrażenia morskiej żeglugi. Właściciel statku a zarazem sternik, zbliża się do mnie i patrzy ciekawie co tak pilnie piszę, może mu przyszło na myśl, że ze strachu testament robię, bo mię zapytał, «czy się bardzo nie boję».

— Nie bardzo, jednakże trochę, tego tać nie mogę.

— Niech się ksiądz nie boi; gdybyśmy byli na

łodzi, to pewnie znaleźlibyśmy tutaj grób, lecz parowiec, mam nadzieję, że oprze się falom.

Co prawda, taka obietnica nie była dla mnie bardzo pocieszającą. Pomimo tego chcąc myśl mą oderwać od możliwej a nie bardzo wesołej katastrofy, pytam mego gospodarza:

— Czy się panu opłaca ten statek maleńki?

— Gdybym miał tylko jeden, to zysk byłby bardzo ryzykowny, lecz z trzema innymi towarzyszami tworzymy spółkę i posiadamy cztery statki wartości 52.000 złr. Ten jest najmniejszy, bo nas kosztował zaledwie 8000. Wszystkie razem przynoszą nam dochodu brutto 8200 złr. Gdy jeden nie dopisze, to drugi lub

trzeci ma zwyczaj w dochodach, w ten sposób mamy dostateczny na utrzymanie zarobek.

— Czy nie zdarzają się zbyt często wypadki na morzu? — pytam dalej uprzejmego Dalmaty.

— Nieraz się to zdarza i co roku parę większych lub mniejszych statków i łodzi idzie na dno morskie. W tych zwłaszcza stronach potrzeba wielkiej ostrożności i mieć pewną praktykę co do stanu powietrza, siły wiatrów i t. d. Ja n. p. prawie codziennie tym statkiem jadę do Skardony, odwożę pocztę, załatwiam interesa tamtejszej ludności, przywożę towary, lecz gdy wieje borea trochę silniejsza jak dzisiaj, to nie śmiałybym na moim parowcu puścić się w drogę, a w razie niespodziewanej burzy, muszę się chronić z załogą do tych licznych przystani nadbrzeżnych, jakie ksiądz zapewne spostrzegł. Zresztą czy na lądzie człowiek zawsze bezpieczny? Czy niema zdarzeń pociągów, wykolejeń i innych smutnych wypadków, chociaż na gładkiej żelaznej drodze?

Miał słuszną, pomyślałem, życie nasze, to bezustanna pielgrzymka, a na niej ciągle niebezpieczeństwa tak dla duszy, jak ciała. Trudno przewidzieć, gdzie »Parka« nić żywota przetnie, lecz

Kto się w opiekę poda Panu swemu
A całym sercem szczerze ufa Jemu,
Śmieje rzec może: mam obrońcę Boga
Nie przyjdzie na mnie żadna ziemską trwoga.

Wśród takich wrażeń i epizodów mniej lub więcej miłych, po dwu godzinach przybywamy do Skardony. Na zwiedzenie dzisiejszego miasta wystarczy parę kwadransy. Główna ulica dosyć szeroka, ocieniona drzewami, obok niej piękne murowane domki i kamieniczki wcale gustowne. Kilka bocznych uliczek wąskich lecz czystych, jeden placik a na nim parafialny kościół.

Z 2000 ludności Skardony połowa jest katolików, druga połowa wyznania orientального, a ma także swą cerkiew.

Za rzymskich czasów Skardona była miastem najbardziej na południe wysuniętym liburnijskiej prowincji, którą Titius, dzisiejsza Kerka, oddzielała od ówczesnej Dalmacyi. Jak było sławnem w ówczesnych czasach, dowodem tego ta okoliczność, że należało do jednego z trzech miast illiryskich, w których pretor rzymski, podczas zwiedzania prowincji dłużej zatrzymywał się dla przewodniczenia naradom, tu wydawał prawa, sądy sprawował, rozstrzygał spory. Czternaście miast dawnej Liburnii i kilka Japidii, t. j. okolic zamieszkałych przez dzisiejszych Morlachów, w sprawach swoich udawały się do Skardony, również reszta ludności wiejskiej obydwu prowincji.

Za rzymskich i greckich cesarzy w Skardonie kwitnął handel, wielu przybywało cudzoziemców, mieszkańcy cieszyli się bogactwem. Po napadach Awarów dawna świetność poczęła zanikać, podniosła się nieco

za czasów kroackich, lecz później wśród ciągłych wojen i coraz nowych zaborów upadła zupełnie.

Uczony O. Farlati nie wątpi, że Skardona już w pierwszych wiekach Chrześcijaństwa otrzymała światło wiary świętej, a nawet Biskupa. Na prowincjonalnym Synodzie salonitańskim r. 530 był obecnym i podpisał uchwały synodalne Biskup Skardony. Również o nim jest wzmianka na Synodzie delmickim r. 877. W późniejszych czasach historia nie wspomina o skardońskich biskupach, aż dopiero wtedy, gdy po zburzeniu Belgradu przez Wenecyan belgradzcy biskupi siedzibę swą założyli w Skardonie. Z końcem XIII wieku powstały tu klasztory Franciszkanów i Klarysek, ten ostatni fundowany przez Stanisławę, siostrę Pawła hr. de Breberio. Ród Breberów sławnym był wówczas w całej Dalmacyi i zajmował najwybitniejsze urzędy. Z pięciu braci Breberów, Piotr był Banem Kroacyi i Dalmacyi, i on to ułatwił swej siostrze Stanisławie zbudowanie klasztoru, uposażenie go, gdzie też i habit świętej Klary przyjęła.

W szeregu dziejowych znakomitości skardońskich, niezaprzeczenie pierwsze miejsce zajmuje Paulin, trzynasty biskup tutejszy ze sławnego i majątnego rodu Draskowiczów. Głębką naukę łączył z wysoką cnotą i gorliwością iście pasterską. Podobnie jak św. Tomasz, biskup kantuarijski walczył z Henrykiem II, królem Anglii, jak nasz św. Stanisław z Bolesławem Śmiałym, tak biskup Paulin około r. 1320 wystąpił przeciw zbrodniom i lubieżnościom Mladina de Breberio, bana Dalmacyi. Gdy ani prośby, ani napominania nie pomogły do upamiętania winowajcy, zamierzył go wykląć z Kościoła. Rozgniewany ban chciał go odstraszyć od tego kroku groźbą kary śmierci, czynił nawet zrazu pozorzone zamachy na jego życie.

Święty Biskup z nieustraszonem mężstwem stał silnie po stronie sprawiedliwości, gromił Mladina, nie wachając się jako dobry pasterz śmiercią przepłacić starania o trzodę Chrystusową swej pieczy powierzoną. Wówczas Mladin namawia własnego syna Marka de Breberio, aby zabił Biskupa. Niegodziwiec usłuchał rozkazu i własnoręcznie mieczem dokonał tej zbrodni. Wywołało to tak wielkie oburzenie w całej dalmatyńskiej ludności, że postanowiono nawet wypędzić banów i dobrowolnie oddać się w ręce Wenecyan; jednak jeszcze na czas przybył Karol król Węgier i uspokoił umysły uwięzieniem Mladina, który też jako zbrodniarz skutny w kajdany gdzieś w ciemnicach węgierskich na pokucie zeszedł z tego świata.

Gdy z początkiem XVI wieku Turcy rozpoczynają napady ze sąsiedniej Bośni na Dalmacyę, Biskup skardoński Tomasz, z polecenia Papieża Leona X spieszy w poselstwie do cesarza Karola V z prośbą o pomoc. Niestety, gdy tej nie otrzymał ani od cesarza, ani od Węgier, Turcy zdobywają Skardonę i w swem jarzmie

trzymają z górą 160 lat. Jaki stan Chrześcijaństwa był podówczas w całej okolicy, łatwo się domysleć.

W drugim roku wojny kreteńskiej r. 1647 Leonard Foscolo, który dowodził flotą i całą załogą wojсковą Dalmacyi, podszedł pod Skardonę i wyrwał ją z rąk tureckich. Niestety, w dwa lata później, czy to wskutek zdrady, czy przekupstwa, Turcy znowu ją odbierają, lecz tą razą nielitościwie mszczą się na mieszkańcach; mord i pożoga kwitnące niegdyś miasta zamieniły w cmentarz, zostawiły zgłiszczca. Podczas wojny peloponeskiej r. 1683, a zarazem odsieczy wiedeńskiej, gdy Turcy byli wzięci w podwójny ogień bojowy, sami Zaratynicy i ościenna ludność góralska zbroi się, napada na Skardonę, wypiera Turków i miasto oddaje w ręce Wenecyan, w której ręku pozostaje aż do r. 1797¹⁾.

Tradycja tutejsza wspomina o cudach męztwa Morlachów w wyzwoleniu Skardony z rąk muzułmańskich. Niektóre dekreta weneckiego Senatu zdają się to potwierdzać i prawdopodobnie bez pomocy niezwalczonych górali, nigdyby lew św. Marka nie zdobył miasta nader ważnego dla swego strategicznego położenia. Od najdawniejszych czasów tędy prowadziła droga, łącząca Adryatyk z wnętrzem Dalmacyi i dalej za góry Dynarskie z koloniami rzymskimi w Bośni i wśród innych słowiańskich plemion aż po brzegi Dunaju.

Z dawnych pamiątek, dziś opodał za miastem pozostały tylko ruiny dawnej twierdzy kroackiej z okrągłą wieżą obronną, jak wszystkie z tej epoki warownie.

Pierwsze kroki w Skardonie skierowałem do kościoła. Był dzień powszedni, pomimo tego sporo ludzi zastałem modlących się i przystępujących do św. Sakramentów. Po jakimś czasie wyszedł kapłan ze Mszą św. Był to X. Marko Vežić, wikaryusz tutejszy, z którym niebawem łatwo się zapoznałem. Z iście sławiańską gościnnością zaprosił mnie zaraz do siebie, zagrał na *tamburice* i zaśpiewał jakąś pieśń kroacką o dawnych bohaterach swego narodu. Instrument podobny do gitary, dno jej tak małeńkie jak dłoń, o czterech strunach metalowych, z których dźwięk wydobywa się gęsim piórkiem. Mówił mi, że ten przedmiot rozrywki znajduje się prawie w każdym domu tutejszych Słowian. Po dłuższej rozmowie o religijnych stosunkach w Dalmacyi, wyszliśmy na miasto dla zobaczenia kasyna, gdzie znaleźliśmy może jakich 10 dzienników serbskich, kroackich i włoskich, rozmaitej barwy politycznej, co było nowym dla mnie dowodem, że życie umysłowe musi tu kwitnąć skoro w tak małej co do liczby mieszkańców miejscowości, znajduje się i lokal odpowiedni na lekturę i dobrze zaprowiantowany w stronę duchową, oby bez przymieszki trucizny.

Miałem jeszcze dużo czasu do powrotu parowcem żkąd przybyłem, więc ułożyliśmy się korzystać z czasu

i jechać do wodospadu Kerki (Krki). W kilka minut po naszej decyzji, zamówione dzielne koniki były zaprzężnięte do porządnej bryczki. Ledwieśmy siedli, konie galopem ruszyły z miejsca. Woźnica w małej czapeczce, a raczej w czerwonym płatku sukna na głowie, nie potrzebował ruszać batoga, lecz raczej trzymać silnie w ręku lejce, aby nas nie uniosły dalmatyńskie półkrwi tureckie rumaki. Mignęło przed nami miasto i przedmieście. Wjechaliśmy na drogę pagórkowato wijącą się ciągle przy łańcuchu skał, nad brzegiem przepaści. Morze w tem miejscu tworzy kanał wązki, z obydwu stron zamknięty skałami i ledwie u ich podnóża nieco drzew i krzewów.

Czem dalej jedziemy, kanał się zwęża, a droga nad nim tak kręta, iż nieraz prawie pod prostym kątem wypada nam zbaczać. Okolica tu coraz piękniejsza, bo więcej zieleni, prześliczne akacje bez kolców dają więcej cienia, a widok urozmaica ptactwo wodne tutaj liczniejsze i stada trzody lub małych osiołków, pasących się w sitowiu, tuż nad brzegiem morza.

Woda w kanale wskutek gry światła zrazu jakby lawa płowo-czarnej barwy, później zmienia się w ciemno-zieloną, w modrą, w miarę tego, jaki procent słodkiej wody Kierki w sobie posiada. Czem bliżej wodospadu, tem więcej zieloności i więcej jej odcieni. Spotykamy większe lub mniejsze wysepki, kępy porośłe krzewem najrozmaitszego gatunku. Wśród skał olbrzymich, piętrzących się ze stron obu, te oazy bogate w roślinność, pełne gniazd ptactwa a zapewne i kryjówek najrozmaitszych zwierząt i zwierzątek nie do opisania piękne i miłe robią wrażenie. Panorama jeszcze się piękniejszą przedstawia, gdy po ostatnim gwałtownym skręcie nad brzegiem przepaści, góry odsłonią całe wnętrze wąwozu, w którym Kerka łączy się bezpośrednio z morzem.

W trzech głównych tarasach Kerka spada odrazu z wielkiej wysokości w parów, a napotykać grupę skał, dzieli się w prawo i w lewo na drobniejsze strugi, których zliczyć nie można, bo jedne tryskają z pod głazów, jako fontanny, inne tworzą odrębne mniejsze kaskady, to znowu zmieniają się w puch wodny i pianę sącąca się z trzech stron wodospadu. Dokoła tworzą wieniec rozłożyste dęby, akacje, lipy, smukłe ciemne cyprysy,



Mieszczka ze Sebeniko.

¹⁾ Zob. *Farlatti* I. c. Vol. IV, pag. 9—29.

karłowate krzewy i nader bogata roślinność. Cóż dopiero powiedzieć, gdy to wszystko słońce olśni swym blaskiem i pocznie wydobywać wszystkie barw odcienia?

Ręka ludzka pochwyciła niektóre z silnych promieni wodnych w kamienne objęcia i jedne sprowadziła na młyny stojące tuż u podnóża, inne zaprzęgiła do poruszania olbrzymich machin, które za pomocą pompy prą wodę rurami pod górę do wysokości 185 metrów. Misternej konstrukcyi wodociąg służy dla miasta Sebeniko i jest co pozazdrościć temu małemu miasteczku, bo woda Kerki posiada w sobie najlepsze i najzdrowsze składniki.

Podobno jest zamiar użycia wodospadu do wytwarzania elektryczności. Była tu już komisya inżynierów i badała całe położenie tutejsze. Czy projekt przyjdzie do skutku, niewiem, w każdym razie ten kapitał nie-spożytej siły nie powinien ginąć marnie w morzu.

Uprzejmy właściciel młynów dał nam swych ludzi do przeprawy łodzią na drugą stronę Kerki; z kąd na pewnej wysokości widok na wodospad jeszcze wspanialszy. Nie będę się silił na opisywanie tych cudów natury, bo na to potrzeba być poetą, a nawet wówczas ledwie cię się przedstawi rzeczywistości.

Zachęcano mię, abym zwiedził pewne miejsce górnego biegu Kierki, położone powyżej wodospadu. Tam na szerokim łożysku znajduje się wyspa ze sławnym OO. Franciszkanów wysowackim klasztorem. Łączy się z nim wiele wspomnień z dziejów chorwackich i Kościoła, zwłaszcza od czasów napaści tureckich. Niestety brak czasu nie dozwolił mi na to, więc pożegnałem młynarską kolonię tutejszą, siadłem na bryczkę i znowu cwałem konie ruszyły z powrotem do Skardony. Był czas południowy, ulice miasteczka bardzo się ożywiły, w jednym szerszym miejscu spotykamy kilkanaście wozów, a koło nich Bośniaków muzułmanów w turbanach na głowie i malowniczych strojach. Twarze ich opalone, czy też może naturalnej czarnej cery, nie wiem, dużo jednak na nich inteligencji, energii i siły. Jadą dni parę ze swojej ojczyzny po sól, przywożą w zamian zboże na sprzedaż.

Przejeżdżając koło szkoły spostrzegłem nad wejściem obraz św. Hieronima. Mieszkańcy czczą go jako swego patrona, a nawet twierdzą, że się w Skardonie narodził. Jednak tradycja ich myli, bo nie tutaj, lecz nieco dalej w *Strigonium*, wiosce położonej koło Kninu, przyszedł na świat znakomity Ojciec i Doktor Kościoła, patron całej Dalmacyi. Znużony nieco i głodny poszedłem się posilić z moim towarzyszem X. Markiem Veżićem i rzecz dziwna, w tak małym miasteczku znalazła się uczciwa gospoda, a w niej i doskonały postny obiad za cenę bajecznie niską. Widocznie, że nowoczesny przemysł »wyzysku« jeszcze nie dotarł do tej ziemi słowiańskiej i traktują podróżnego raczej jak gościa niż Nababa.

Z wdzięcznem uczuciem w sercu i pełen wrażeń

najmilszych, wracam na mój statek maleńki z powrotem do Sebeniku. Borea wiał silniej jeszcze, jak przed południem, fale tłoczyły się tak gwałtownie, że były chwile w których się zdawało, że już tuż — tuż zaleją nasz samowar, a gdy zgaśnie ogień w maszynie, trzeba będzie szukać grobu na dnie morza lub we wnętrzościach rekinów.

Dzięki jednak Bogu i opiece św. Krzysztofa żadna zła przygoda nas nie spotkała; za przybyciem do Sebeniku, zaraz zabrałem z hotelu me rzeczy podróżne i dalej udałem się w drogę »żelaznicą«, tak tu zowią kolej — na uroczą dolinę Derniszu i Kninu.

VII.

W dawnej stolicy kroackiej.

Po kilkunastu kilometrach kolejowej drogi za Sebeniko, widok skał zmienił się w najpyszniejszy krajobraz bogatej gleby. Częstsze napotykamy wioski, uprawne pola, młode lub świeżo zasiane lasy, stada bydła, trzody pasącej się na ugorach lub ścierniskach. Jakżeż maleńka przestrzeń dzieli tak odrębne dwa światy: nadmorski i stałego lądu, rybacki i pastersko-rolniczy, a za tem idące różne charaktery usposobienia i zwyczajai, rodzących się z odmiennego sposobu życia, zajęcia i stosunków ekonomicznych!

Na stacyi Perkowicz kolej dzieli się na dwie odnogi, z których jedna na południe zmierza ku Spalato, druga we wschodnio-północnym kierunku wije się przez nader urodzajne okolice, dochodząc aż do Kninu. W połowie drogi między Perkowiczem a Kninem znajduje się większe miasteczko Dernisz, dziś sławne z kopalni węgla, eksploatowanych w pobliżu miasta, pod pasmem gór, zwanem Promina, sławę swą jednak ma też dawniejszą. Kiedyś było to miasto jednym z możniejszych i większych w Dalmacyi, miało swą silną fortecę, Turcy zwali ją małym Serajewem, a pewien kronikarz wspomina, że ludność ongiś dochodziła do 20.000 rodzin. W każdym razie było etapem na szlaku wojennym między Bośnią turecką, a wybrzeżem Adryatyku, dokąd tak często Muzułmanie robili zbójckie wyprawy.

Stara rzymska droga, po części dziś jeszcze zachowana, kiedyś łączyła Dernisz ze Skardoną dla ułatwienia komunikacyi tamtejszej ludności, gdy się udawała na owe sławne *conventus juridici*, o których wyżej wspominałem.

Jak wszystkie miasta Dalmacyi, bardziej odległe od wybrzeży, dla trudności utrzymania większej załogi wojskowej, często stawały się pastwą mahometan, tak i Dernisz przechodził tesame koleje. Turcy przez czas bardzo długi, prawie bezustannie tu panowali, wznosili meczety, turczyli ludność. Po złamaniu muzułmańskiej potęgi pod Wiedniem, swobodniej odetchnęły ludy południowo-słowiańskie i poczęły marzyć o wyswobodzeniu z pod mahometańskiego jarzma.

Dernisz zawdzięcza ostateczne oswobodzenie serdarowi Nakić, który w tymże pamiętnym r. 1683 w październiku na czele okolicznej ludności opanował miasto i jeden z czterech meczetów oddał na kult chrześcijański. Dzisiejszy Kościół jest właśnie dawniejszym meczetem, a tam gdzie mieszkają kapłani katoliccy, była kiedyś rezydencya wielkiego hodzi. Obok znajdował się dla potrzeb miejscowych ogromny zbiornik wody, sprowadzonej przez Turków wodociągiem długości 13 klm. Ów basen służył Muzułmanom zarazem do odbywania zwykłych świętych ablucyi, zwanych przez nich *awdes*.

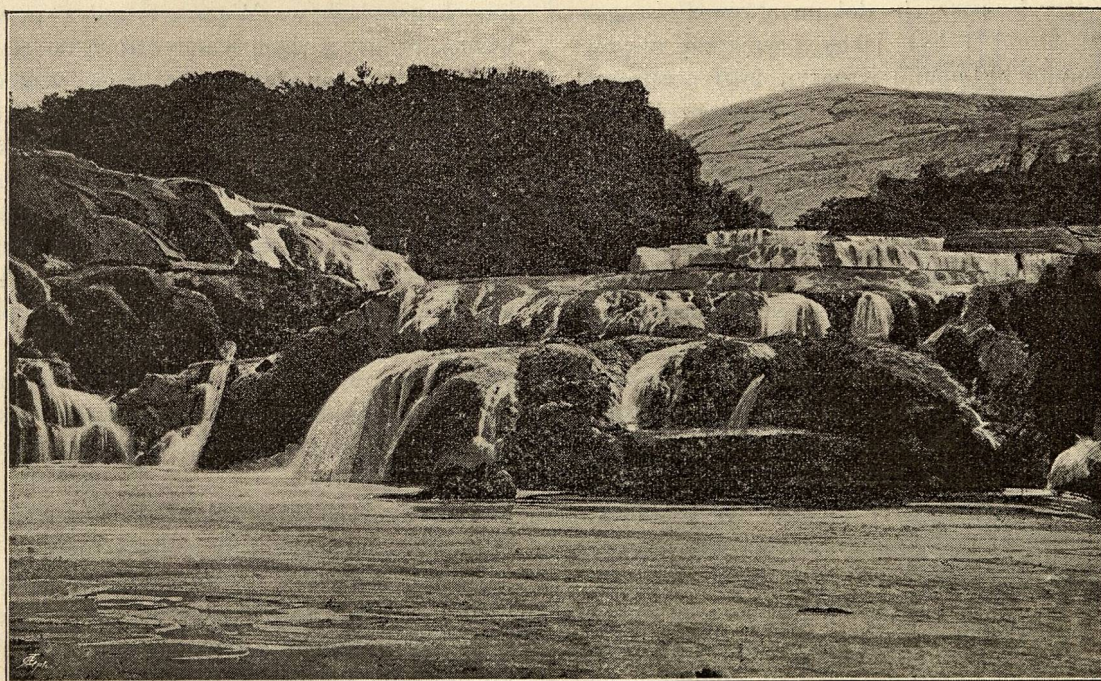
Z kilku dawnych meczetów jeden pozostał dotychczas, dla małej garstki Muzułmanów, zamieszkałych

w tutejszej okolicy. Jest to jedyny stary meczet i jedyna kolonia muzułmańska w całej monarchii austro-węgierskiej, naturalnie jeśli wyłączymy Bośnię i Hercegowinę, gdzie obecnie jeszcze większość ludności jest muzułmańska.

W Derniszu spotkałem jakiegoś Ojca Bernardyna, który dowiedziawszy się, że jadę do Kninu, najuprzejmiej zaprosił do swego klasztoru.

Gdy mu zrobiłem uwagę, że zaprosił mnie poprzednio kanonik K. do siebie, odparł O. Bernardyn z prawdziwie sławiańską gościnnością:

»Nie wątpię, że wygodniejsze znajdziesz ksiądz mieszkanie w domu starosty, krewnego kanonika i chę-



Dalmacya. — Wodospad Kerki; podług fotografii. (Zob. str. 127).

tnie cię tam będą gościli, lecz zawsze będziesz tam gościem, a u nas tak, jak u siebie w klasztorze. Zresztą innego kościoła niema w Kninie, jak nasz; jest on klasztorny a zarazem parafialny, więc nie możesz nas w żaden sposób pominąć, a gdy raz do nas przyjdiesz, to cię nie puścimy«.

Nie będąc związany słowem z kanonikiem K., naturalnie przyjąłem tak serdeczne zaprosiny i razem udaliśmy się w drogę do dawnej stolicy kroackiej.

Ów gościnny Bernardyn był to O. Jan Barbić,

¹⁾ Serdarowie byli to komisarze Rzpłtej Weneckiej, ustanowieni w każdym miasteczku lub większej wiosce. Był to urząd honorowy, piastowany tylko przez ludzi, którzy się odznacжали męstwem i prawością charakteru. Serdarowie przez długi czas byli jedynymi sędziami i kierownikami ludu, dopóki władze rządowe nie zastąpiły ich w tym wieku płatnymi urzędnikami.

lektor teologii w klasztorze Spalateńskim, jechał na wakacje do knińskiego klasztoru. W Spalato uczył historii powszechnej i kościelnej swych braci zakonnych, a na zapytanie ile godzin tygodniowo — »ośmnaście«, odpowiedział.

Ztąd nowy miałem dowód, jak ta nauka *magistra vitae* kwitnie w Dalmacyi, skoro nawet zakonnicy św. Franciszka tyle jej tutaj poświęcają czasu.

Korzystając z towarzystwa dalmatyńskiego historyka, pytam o dzieje dawniejsze Kninu. O. Bernardyn poprawił habit i tak począł mówić:

»Jeszcze zanim Słowianie przybyli do Dalmacyi, dzisiejszy Knin był znanym miastem i ludnym. Historycy przypuszczają, że tutaj była Arduba, o której i Cezar wspomina, a w każdym razie jest rzeczą pewną, że za rzymskich cesarzy była tu kolonia Tininium. Gdy

za cesarza Herakliusza w VII wieku Słowianie opanowali ten kraj, Tininium przez nich Kninem nazwane, stało się posiadłością książąt, a później królów kroackich. Najświetniejsza epoka tego miasta przypada na wiek XI, kiedy Kreszymir IV, król Kroacyi, uczynił go stolicą swego rozległego państwa, a nawet tutaj biskupstwo założył. Biskup kniński w owych czasach wielką cieszył się powagą, może największą po królu. On miał obowiązek zawsze znajdować się przy boku królewskim, a nie tylko dla odprawiania nabożeństw, ale także dla udzielania rady w rządach państwa; on miał u siebie pieczęć królewską, spisywał, podpisywał i przechowywał jego rozmaite akta i rozporządzenia, prawa, niemniej jak uchwały senatorów państwa. Dlatego nazywał się podług starych naszych dokumentów *Episcopus regius* lub *Palatinus* i był jakby prymasem między wszystkimi innymi biskupami Kroacyi, ztąd często go nazywano *Episcopus Croatiae* lub *Croatorum*. Wybudował mu też król kościół katedralny pod wezwaniem Matki Boskiej, fundował przy nim kanonie, aby kapłani wspólnie mieszkając »we dnie i w nocy« psalmy śpiewali na chwałę Panu Bogu. Do dzisiaj zachowały się ruiny tego kościoła i wspólnego mieszkania kanoników, które jeszcze teraz nazywa się między ludem *Capitulum* ¹⁾).

Jeżeli ksiądz zechcesz, zrobimy tam wycieczkę z naszym O. Marunem, który lepiej odemnie objaśni wszystkie te pamiątki, bo od lat kilku zajmuje się archeologicznymi zabytkami dawnych czasów kroackich.

»Po bezpotomnej śmierci Stefana II, ostatniego kroackiego króla, żona Zwonimira, jego poprzednika, a siostra króla węgierskiego, imieniem Lepa czyli Helena odziedziczyła koronę kroacką i oddała ją bratu.

»Chociaż Ludwik zawładnął Kroacją i Dalmacją, jednak my go nie zaliczamy do naszych królów, ponieważ sam tu nie rządził, tylko przez swego namiestnika węgierskiego. Krótkie te czasy nazywamy bezkrólewem, a dopiero Kolomana nazywamy pierwszym królem Kroacyi i Dalmacyi, ponieważ się jako taki u nas koronował i prawdziwie po królewsku z nami się obchodził.

»Za czasów Ludwika, Knin bardzo podupadł na znaczeniu. W tym bowiem czasie fundowano biskupstwo w Zagrzebiu i tamże przeniesiono wszystkie przywileje i prerogatywy, które dawniej nasz Knin posiadał. Pomimo tego zawsze wielkiego jeszcze znaczenia u króla był głos Kapituły knińskiej i przez długie lata pieczęć patrona knińskiego, św. Bartłomieja znajdowała się na dokumentach królewskich. Podczas gdy miasta nadbrzeżne Dalmacyi przechodziły rozmaite koleje i raz były w rękach węgierskich, raz w Rzeczypospolitej Weneckiej,

Knin wyłącznie należał aż do końca XV wieku do korony węgierskiej. Jednak od czasu jak Turcy opanowali Carogród i zajęli Bośnię, położenie Kninu stawało się coraz nieznowniejsze. Raz po raz Muzułmanie napadali na to miasto, łupili go, ludność uprowadzali w jasyr i ze zdobyczą chronili się za Alpy Dynarskie.

»Ostatecznie w r. 1520, gdy sułtan Soliman wydał wojnę Ludwikowi II, opuszczony Knin dostał się w ręce tureckie i dźwigał jarzmo pogańskie z górą lat 170. W tym czasie chociaż miejscowa ludność otrzymywała biskupów, lecz był to tylko ich tytuł, bo sami nigdy nie mieszkali w Kninie, lecz albo tułali się po nadbrzeżnych miastach dalmackich, bezpiecznych pod zasłoną załogi weneckiej, albo znajdowali się na jakich innych urządach we Węgrzech, gdyż prawo przedstawiania Stolicy świętej kandydatów na biskupów knińskich, zatrzymali zawsze królowie węgierscy, chociaż Knin pozostawał pod władzą sułtanów. Kto się zajmował podówczas opuszczoną ludnością chrześcijańską, kto ją pocieszał wśród srogiego prześladowania pogan, kto podtrzymywał w nich wiarę świętą, znajdzie Książd odpowiedź w naszych archiwach knińskim i sińskim; będzie to zarazem rozwiązaniem dla wielu może niezrozumiałego pytania, z kąd nasi Ojcowie posiadają liczne przywileje w Dalmacyi i administrację dziś jeszcze w przeszło 70 parafiach, a mają prawo jeszcze do wielu innych nieobsadzonych przez naszych zakonników dla braku kapłanów w naszej prowincyi zakonnej Najświętszego Odkupiciela.

»Gdy wasz Sobieski złamał potęgę turecką pod Wiedniem, odetchnęliśmy także i tutaj.

»W r. 1688 a czwartym wojny peloponeskiej odważył się wódz floty i wojsk weneckich Hieronim Cornaro na zdobycie Kninu. Po kilku dniach oblężenia Muzułmanie ustąpili z twierdzy i oddali ją wojskom Rzeczypospolitej ¹⁾«.

— Czy w tym czasie Knin podniósł się nieco do dawnej swej świetności? — pytam mego towarzysza.

— »Bynajmniej — odpowiada O. Barbić — gdyż Rzeczpospolita Wenecka przez długie lata nie utrzymywała tu dostatecznej załogi wojskowej. Zresztą długa historia Kninu tak się łączy z dziejami naszego Zakonu, że trudno, mówiąc o jednym, nie wspomnąć o drugim, a ponieważ Księdzu zależy na dokładnych informacjach, najlepiej będzie jak mówiłem, zajrzeć do naszych bogatych archiwów, a jeżeli w poszukiwaniach będę mógł dopomódz, najchętniej to uczynię«.

Wśród najmilszej gawędki z O. Bernardynem, przesuwamy się przez coraz to nowe skaliste okolice, jedziemy jakby pasmem gór, po którego obydwu stronach naszej drogi rozpościera się więcej urodzajna okolica. Wreszcie słońce schowało się za góry, a jak zwy-

¹⁾ Porównaj *Hrvatski spomenici w Kninskoj okolici etc.*, napisao Fran Bulić Dop. Član jugostav. akademije znanosti i umjetnosti, Svezak I, u Zagrebu 1888.

¹⁾ Zob. *Farlati* l. c. Vol. IV, pag. 279—302.

kle w takich okolicach noc prędko zapada, ogarniają nas ciemności i tylko słabe światło srebrzystej tarczy księżyca ukazuje się na firmamencie niebieskim, dodając dziwnego uroku górą tutejszym, piętrzącym się skałom, a na nich kolosalnej fortecy, dominującej nad Kninem.

Pociąg stanął, zjawiała się służba klasztorna do zabrania naszych rzeczy, idziemy do konwentu Ojców Bernardynów. Budynek to jeden z największych w mieście i jest w istocie wspaniąłą rezydencją zakonną. Obok kościół wielki, nowy, jak i zabudowania klasztorne, zdają się świadczyć, że to wszystko niedawno stanęło pod dachem.

Zapoznanie się z O. gwardyanem Filipem Jukić i innymi ojcami nastąpiło łatwo i prędko, witali mię jakby dawno znanego i oczekiwanego gościa. Szczerzej prostodusznej gościnności sławiańskiej w tym domu zakonnym, jak i w innych na ziemi dalmatyńskiej nie zapomnę nigdy.

Miedzy tutejszymi Ojcami, O. Alojzy Marun, o którym wspominał mi mój towarzysz drogi, acz jeszcze bardzo młody zakonnik, zyskał sobie tu sławę archeologa, a nie sztucznym jakimś sposobem, lecz rzeczywistymi zasługami, jakie położył około pomników kroackich.

Jeszcze przed kilku laty pewien znany uczony zagrzebski i wysoki urzędnik państwowy wyraził się w swem dziele, że Kroacya nie posiada żadnych pomników, ani zabytków odnoszących się do epoki jej książąt i królów z pierwszej doby średnich wieków. O. Marun wziął się energicznie do poszukiwań i z pomocą kilku innych miłośników ojczystych pamiątek, odgrzebał już dzisiaj po kilku zaledwie latach pracy całe muzeum zabytków nieocenionej wartości dla historii i sztuki kroackiej z tych czasów, o których była kwestya.

OO. Bernardyni widząc, że mię interesują ich prace i na tem polu naukowem, zaraz dnia następnego po moim przyjeździe podali projekt wyprawy na miejsce, gdzie się te zabytki znalazły.

Po spoczynku w wygodnym i bardzo dobrze urządzonym pokoju gościnnym, o jakim nawet marzyć nie mogłem, u stóp Alp Dynarskich, przy granicy Bośni, po rannych nabożeństwach wsiedliśmy do bryczki, ciągniętej przez dwa tureckiej krwi rumaki i cwałem ruszyliśmy z miejsca. Było nas trzech: mój towarzysz drogi O. Jan Barbić, O. Marun i ja. Za miastem Ojciec Barbić, chlubiący się znajomością znakomitego powożenia, odesłał woźnicę do domu i sam siadł na kozioł, myśmy z O. Marunem poczęli gwarzyć o najbliższym celu wyprawy.

— Musisz Książdz wiedzieć — odzywa się mój towarzysz — że Knin dzisiejszy powstał dopiero w wieku XIV-tym lub początkiem XV-go, pierwotnie znajdował się w tem miejscu, do którego jedziemy. Tam znajdziemy

ruiny czterech bazylik, zbudowanych za czasów Piotra Kreszymira, a zburzonych przez Turków. Są one w części odkopane, piąta zaś bazylika Najśw. Maryi Panny oczekuje poszukiwań, lecz już jestem na tropie, gdzie w tym celu rozpocząć prace.

— Czy w dawnym Kninie niema już mieszkańców, tylko same ruiny?

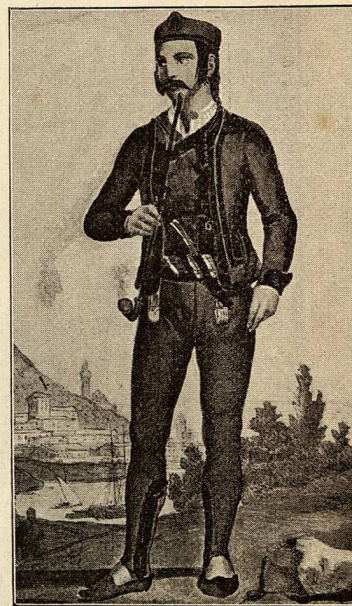
— I owszem, w bliskości znajduje się wioska z liczną ludnością, orientalnego wyznania. Zresztą w całej naszej parafii knińskiej, t. j. w mieście i okolicy mamy wszystkiego 2000 katolików, a reszta 20.000 ludności całego knińskiego obwodu, należy do orientalnego wyznania.

Rozmowa przeszła na temat stosunków miejscowych i tych obrazów natury, jakie się prze-suwały przed naszymi oczyma, nie dającami się nigdy nasycić widokiem gajów, łąk, łąnów zboża, plantacyi winnych, poprzerynanych licznymi strumieniami, tryskającymi z pod skał, o czystej jak łza wodzie. Parę kilometrów szeroki wąwóz kniński bardzo pięknie i bogato wygląda. Trochę mi przypominał ową urodzajną okolicę, ciągnącą się od Tiwoli do Subiako, którą Anio przeryzyna i użyźnia swoją wilgocią, to znowu myśl mą przenosiło w nasze polskie strony, gdyż takich obrazów chyba u nas najwięcej.

Po dłuższej podróży morskiej i po skalistych wybrzeżach Dalmacyi, acz pięknych i uroczych, jednak przyzwyczajonemu do łąk i lasów, swobodniej odetchnąłem i weselej na świat patrzałem, gdy się znalazłem wśród okolicy przypominającej mi więcej strony rodzinne bogactwem zieleni, położeniem terenu, a nawet typami ludu i ich strojem, bardziej zbliżonym do tego, jaki noszą nasi Rusini. Brak nam tylko tych ruin starych twierdz, wież i baszt kroackich, rozrzuconych na szczytach i urwiskach skał, począwszy od Kninu aż po wybrzeża Dalmacyi. Z nich żołnierze stojący na czatach, dawali sygnały ogniem o zbliżaniu się nieprzyjaciela, a zarazem przestrzegali ludność, aby się chroniła z dobytkiem do większych twierdz lub w inne bezpieczne kryjówki przed nieubłaganą powodzią turecką.

X. Marcin Czerminski.

(C. d. n.).



Mieszczanin ze Sebeniko.

Z Molokai, wyspy trędowatych.

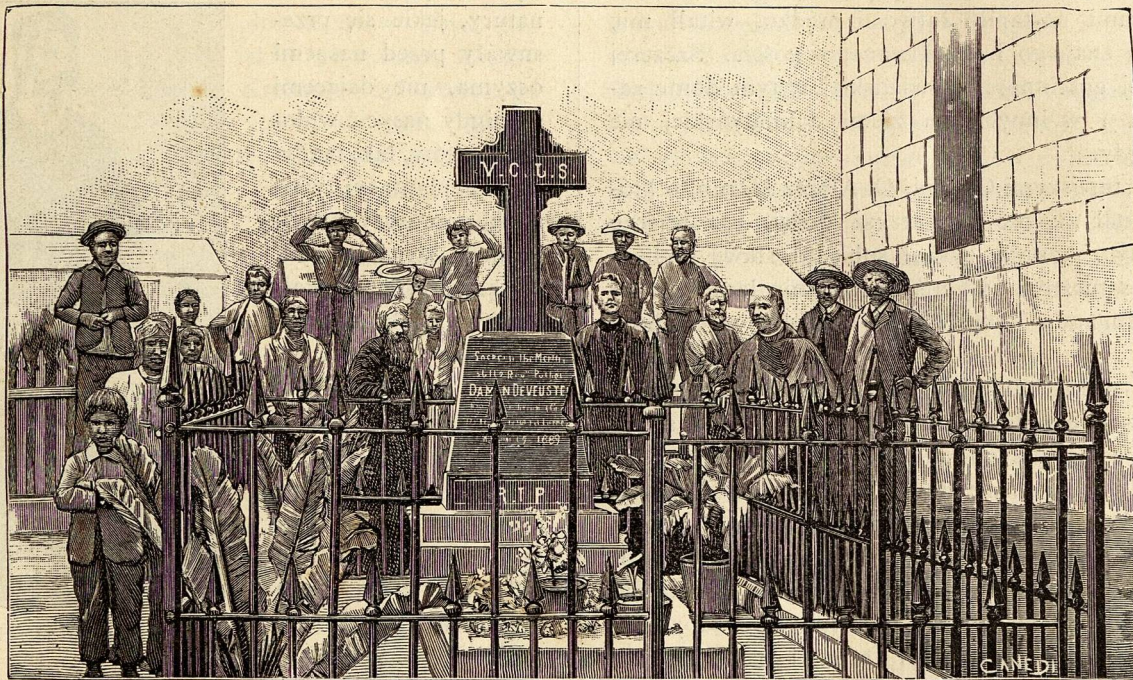
Niejednokrotnie już donosiliśmy czytelnikom naszym o pięknej missyi na największym w całej Polinezyi archipelagu hawajskim. Około 85 misjonarzy europejskich ze Zgromadzenia Najświętszych Serc zaopatruje tam duchowne potrzeby przeszło 30.000 wiernych, to jest trzeciej części całej ludności, na główniejszych zaś wyspach znajduje się już około stu chrześcijańskich wiosek, zaopatrzonych w kościoły i kaplice, i nawiedzanych kolejno przez misjonarzy. Dziś podajemy opis pierwszej

wizyty pasterskiej X. biskupa Gulstana Roperta, wikaryusza apostolskiego wysp Sandwichich.

Nowy wikaryusz apostolski podobnie jak jego poprzednik, pragnął odwiedzić przede wszystkim najniebezpieczniejsze owieczki ze swej trzody, to jest trędowatych na wyspie Molokai.

W kilka dni po swem wyświęceniu, dnia 25 września 1892 r., Gulstan Ropert, biskup Panopolisu, wyruszył z San Francisco na nieszczęśliwą tę wyspę.

Przybycie X. Biskupa do Kalaupapy zostało назначone na dzień 25 października. Rzeczywiście już o godzinie 8 rano orszak biskupi przybył do stoku góry, która dzieli wyspę na dwie równe części i kończy się ol-



Molokai. — Wzniesienie krzyża nad grobem O. Damiana Deveuster, apostoła trędowatych.

brzymią skałą, panującą nad morzem i całą doliną. Skała ta ma 1000 metrów wysokości, ze szczytu zaś jej przepyszny roztacza się widok. Na dolinie, dokoła kościołów i szpitali wznosi się przeszło 300 eleganckich białych domków, malowniczość zaś krajobrazu nicby nie pozostawiała do życzenia, gdyby, niestety, ogromna ta wioska nie nosiła na sobie cechy powolnego konania i śmierci. Białe ściany domów przypominają mimowoli pobielane groby, o jakich mówi Pismo święte, trąd bowiem toczy w nich swe ofiary, jak robactwo trupa. Dlatego też oko spogląda obojętnie na pełne wdzięku krajobrazy, serce zaś głęboki uczuwa smutek.

Na szczycie góry X. Biskup nie długo się zatrzymał i po kilku chwilach orszak jego wkroczył na wąską ścieżkę, wiodącą na dolinę. W missyi tymczasem zaczęli się zbierać liczni parafianie, niebawem zaś Ojciec Moeller wyjechał konno ze swymi trędowatymi na spo-

tkanie znakomitego gościa. Pobożna ta kalwakada przybyła właśnie w chwili, gdy orszak X. Biskupa zstąpił na dolinę, u podnóża więc góry otrzymali krajowcy pierwsze błogosławieństwo od swego ukochanego Pasterza.

Następnie całe to grono podążyło do Kalaupapy, gdzie je powitały radosne okrzyki mieszkańców, oraz wesole dźwięki orkiestry, złożonej z dwudziestu trędowatych. Widok jej pobudzał jednocześnie do śmiechu i płaczu.

Wszedłszy do kościoła, X. Biskup odprawił Mszę świętą, poczem zwrócił się do swych wiernych i wypowiedział głosem wzruszonym prawdziwie ojcowską przemowę:

»Chociaż przed dwoma niespełna laty, czcigodny mój poprzednik, X. biskup Hermann, udzielał na waszej wyspie Sakramentu Bierzmowania, ja jednak chciałem wam złożyć dowód serdecznej troskliwości i ojcowskiej

pieczy, zwracając ku wam pierwsze moje kroki. Pierwszym, kto z rąk moich otrzyma Bierzmowanie, będzie jeden z waszych. Mam nadzieję, że ani wy, ani ja, nie zapomnimy tego».

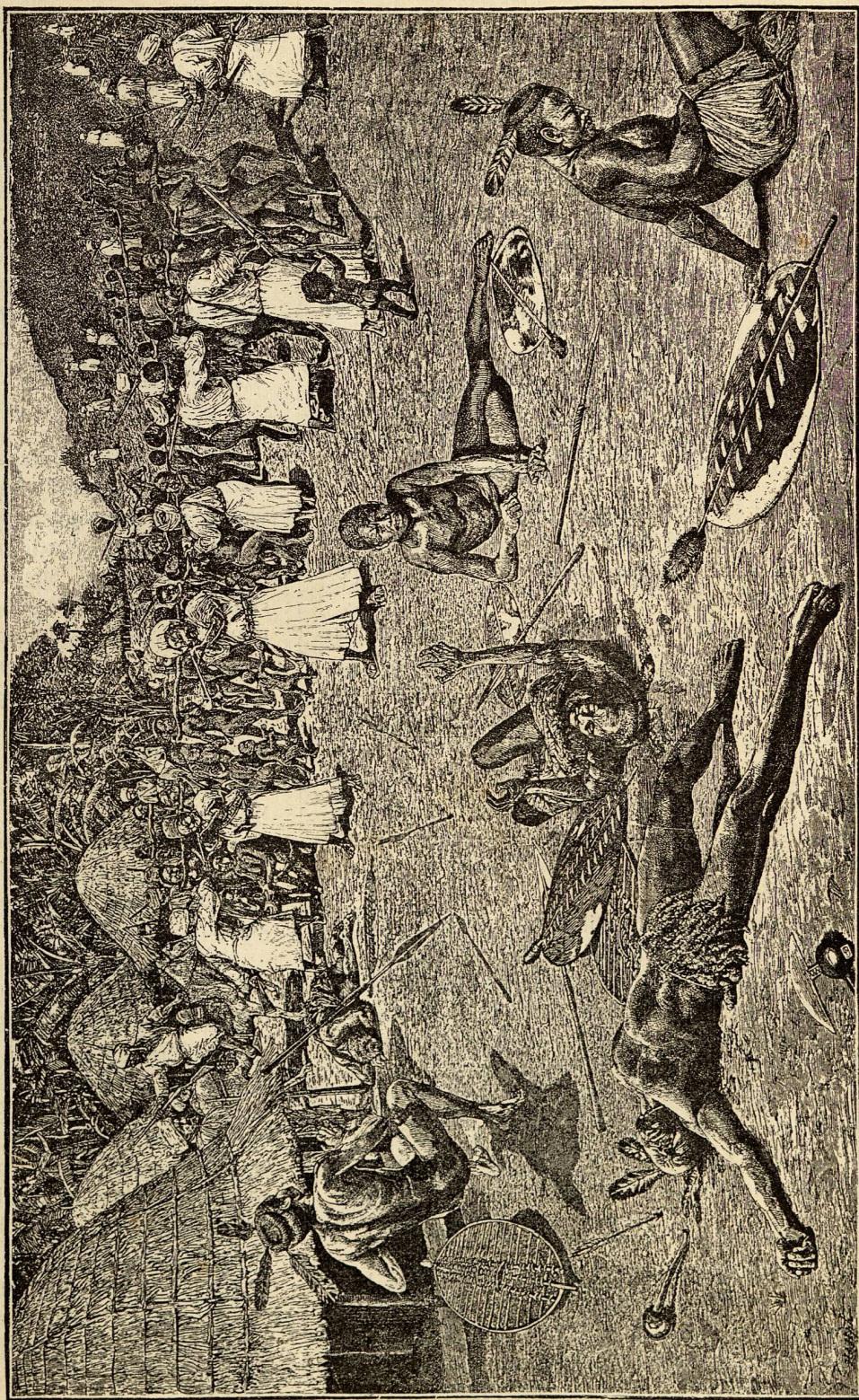
»Serce mi się ścisnęło — pisał później czcigodny nasz Pasterz — na widok młodzieży, dotkniętej tak okropną chorobą, która ją w kwiecie wieku zaprowadzi do grobu. Wówczas też dopiero zrozumiałem i oceniłem należycie poświęcenie O. Damiana, oraz tych wszystkich, którzy wiodą dalej szlachetne jego dzieło».

Po skończonem nabożeństwie X. Biskup poświęcił uroczyste olbrzymią statuetkę na cześć Najś. S. Pana Jezusa, przyslaną przez pewną szlachetną osobę z Europy, która żywiąc w swym sercu głębokie uczucie uwielbienia dla O. Damiana, złożyła kosztowny ten dar najdroższemu jego przyjaciółom, trędowatym na Molokai.

W chwili, gdy ucichły pieśni pobożne i wraz z pięknymi liturgicznymi modłami wzniósł się ku niebu wonny dym kadzidła, X. biskup Ropert wszedł na stopnie piedestału i przypominawszy słuchaczom znany posąg pierwszego hawajskiego króla, Kamehameha I, zwanego Zdobycą, przemówił temi mniej więcej słowy:

»On także wzywa lud, aby szedł za nim. Ale dlaczego? Oto dlatego, by tocząc bitwy i rozlewając krew, cudze zdobywać ziemie. Jakże inaczej wzywa nas Jezus: »Pójdźcie do mnie — mówi — wszyscy, którzy cierpicie, a ja wam ulgę przyniosę. Oto serce, które tak bardzo umiłowało ludzi. Pójdźcie do mnie, a dam wam nie królestwo ziemskie, lecz nieśmiertelny wieniec chwały w niebiosach».

Nie dziw, że słuchacze zachwyceni temi słowy, tłoczyli się w przedsionkach kościoła, pragnąc złożyć swemu



Afryka środkowa. — Polowanie na niewolników. (Zob. »Wiadomości bieżące« na str. 130).

biskupowi hołdy czci i wdzięczności w imieniu wszystkich mieszkańców, którzy zapomnieli na chwilę, iż są najniezwyklejsi na świecie. Cała też ludność katolicka

zapewnia również swego Pasterza o wierności i przywiązaniu do wiary świętej, stanowiącej na wygnaniu jedyną jej pociechę.

Trzeciego dnia po przybyciu X. Biskupa — pisze O. Wandalin Moeller — wyruszyliśmy konno w kierunku Kalawao, drugiej wielkiej wioski na wyspie trędowatych.

— Nie spodziewałem się znaleźć tylu domów na tej drodze — rzekł zdziwiony X. Biskup. — Zdaje mi się, że w r. 1886 większa część ludności zamieszkiwała Kalawao. Jakież jest więc teraz liczebny stosunek mieszkańców obu tych wiosek?

— Trzecia ich część, X. Biskupie, mieszka w Kalawao, reszta zaś w Kalaupapie.

— A ileż wynosi cyfra całej ludności?

— W obecnej chwili liczymy na tej wyspie 1100 trędowatych, oraz 200 mieszkańców niedotkniętych jeszcze tą chorobą. Ja należę tymczasem do tych ostatnich.

— Tysiąc sto trędowatych, o mój Boże! Podczas ostatniej mojej bytności było ich zaledwie siedmiuset, słyszałem zaś, że z pomiędzy nich już jeden tylko pozostał. Czy to prawda?

— Czy widzisz, X. Biskupie, od strony morza, w kierunku północnym, rozległe pole, wypełnione krzyżami, grobami i niewielkimi pomnikami, na które teraz właśnie padają pierwsze promienie wschodzącego słońca? Jest to cmentarz w Kalaupapie. Tutaj zaś na prawo, na niewielkim wzgórzu, widzimy również coś podobnego. Jest to cmentarz w Kalawao, założony zaledwie w r. 1889, a którego grobów i krzyżów jużbyśmy porachować nie zdołali. Zdaje się, że wszelki komentarz byłby tu zbędnym.

Tak rozmawiając, dotarliśmy do pierwszych domów we wsi Kalawao, odległej o pięć kilometrów od Kalaupapy. Uwagę naszą zwróciła przede wszystkim piękna wieża kościelna, ostatnie dzieło O. Damiana, po chwili zaś rozległy się dźwięki zawieszonego na niej dzwonu, ofiarowanego przez redakcję czasopisma amerykańskiego *Ave Maria*. Przybyliśmy wreszcie do tej błogosławionej misyi, gdzie O. Damian żył, pracował, cierpiał, umarł i spoczywa. Na spotkanie nasze wyszły dzieci z rozwiniętymi sztandarami w ręku i po serdecznym powitaniu wkroczyliśmy procesjonalnie do kościoła.

Podczas Mszy świętej przygrywała orkiestra, której towarzyszył chór trędowatej dziatwy, nabożeństwo zaś zakończyło się Bierzmowaniem około 30 osób.

Następnie podążyliśmy do grobu O. Damiana, ocienionego pandanusem, pod którym drogi ten misyjnik długie niegdyś przesiadywał godziny. Wiele osób codziennie przychodzi tam się modlić. (Zob. ryc. na str. 132).

O jedynastej rano X. Biskup zaczął egzaminować

działwę z katechizmu, wyrażając przytem głośno swe zadowolenie.

W piątek, niestety, miała się skończyć radość, jaką nam sprawiły odwiedziny ukochanego Pasterza. Towarzyszyliśmy konno X. Biskupowi aż do podnóża góry, gdzie się serdeczne odbyło pożegnanie. Ztamtąd w towarzystwie kilku nietrędowatych kanaków podążył X. Biskup w kierunku olbrzymiego łańcucha, dzielącego nas od reszty świata, my zaś ze ściśniętem sercem wróciliśmy do naszej pustelni, szpitala dla trędowatych...«

Męczennicy chińscy z Zakonu Kaznodziejskiego

zaliczeni w poczet Błogosławionych 1893 r.

Po założeniu przez OO. Dominikanów hiszpańskich na Filipińskich wyspach kwitnącej zakonnej prowincji pod wezwaniem Różańca świętego, misjonarze z tegoż zakonu poczęli robić wycieczki do Chin, w celu nawracania pogan. Między innymi przybył tam O. Michał Benavides, późniejszy Arcybiskup Manilli. Atoli dopiero O. Aniołowi Cocchi udało się stale zamieszkać w Chinach i on też poczytywany jest ogólnie za założyciela w tym kraju misyi dominikańskiej, która pomimo wszelkich prześladowań, aż do naszych czasów utrzymać się zdołała.

O. Anioł Cocchi przybył do Chin w r. 1631 w towarzystwie O. Tomasza Sierra. Od tej chwili główną widownią apostolskiej działalności stała się prowincja Fo-Kien, a zwłaszcza miasto Fo-Gan, w którym niebawem zaczęła się tworzyć kwitnąca chrześcijańska gmina.

Wszyscy ci apostołscy pracownicy ucierpieli nie mało w kraju usposobionym tak nieprzychylnie względem Chrystyanizmu; pierwszym zaś Dominikaninem, który przelał w Chinach krew za Chrystusa i świętą Jego wiarę, był O. Franciszek Capillai, umęczony dnia 15 stycznia 1648 r. Dopiero w r. 1692 lepsze dla chrześcijan chińskich rozpoczęły się czasy, wówczas bowiem cesarz Kong-Hei upoważnił misjonarzy do głoszenia wszędzie swobodnie zasad chrześcijańskiej wiary, podanym zaś swoim pozwoleń nawracać się na katolicyzm. Atoli nieszczęśliwy spór z powodu obrządku w Chinach, wywołał znowu niepomyślny zwrot dla apostolstwa, w roku zaś 1706 ukazał się nawet dekret cesarski, skazujący wszystkich europejskich misjonarzy na wydalenie z kraju.

Od tego czasu Chrystyanizm był w Chinach religią wyjętą z pod prawa i niejednokrotnie musiał cierpieć okropne prześladowanie. Wówczas właśnie, gdy wiara chrześcijańska w Chinach najbardziej była prześlado-

I.

Zaledwie młody misjonarz przybył do Kadyksu, aby tam wsiąść na okręt, zachorował tak niebezpiecznie, że lekarz okrętowy stanowczo odradzał mu puszczenie się w tak długą i uciążliwą podróż. Atoli Piotr położywszy całkowitą ufność w miłosierdziu Bożem, niezwłocznie wybrał się w drogę. Towarzyszyło mu 42 innych kapłanów również z zakonu św. Dominika, którzy pragnęli poświęcić się tak, jak on, ewangelizacji rozmaitych ludów pogańskich. Żegluga odbyła się szczęśliwie i w styczniu 1713 r. O. Piotr Sanz wylądował

w Meksyku, a dnia 7 marca tegoż samego roku podążył przez ocean Spokojny do Akapulko. Tam jednak znowu został dotknięty chorobą, która atoli nie zdołała powstrzymać męża Bożego od dalszej podróży. Dnia 5 kwietnia nieustraszony misyjnarz opuścił Akapulko, a dnia 21 lipca 1713 r. przybył szczęśliwie na wyspy Filipińskie.

Jeszcze podczas żeglugi na okręcie O. Piotr rozwinął mądrą i gorliwą apostolską działalność, wykładając zasady wiary świętej okrętowej załodze, która nader mało pod tym względem była oświecona. Gdy wreszcie gorliwy kapłan przybył przy końcu sierpnia do Manilli, stolicy wysp Filipińskich, wówczas pierwszą jego myślą było złożenie serdecznego synowskiego hołdu Królowej Różańca świętego, której piękny obraz czczony jest od dawna w klasztornej świątyni. Tam wynurzył u stóp Królowej Niebios wszystkie najgorętsze pragnienia swego serca i polecił świątobliwe swe przedsięwzięcie potężnej opiece Tej, którą od dzieciństwa za pomocą Różańca świętego nauczył się wielbić i kochać jak matkę. Rzeczywiście Najśw. Panna okazała się niebawem prawdziwą Matką i Pocieszycielką dla swego wiernego sługi i czciela, tu bowiem u stóp cudownego obrazu znalazł O. Piotr źródło tak obfitych pociech, że zapomniał niemal o wszystkich cierpieniach, doznanych w ciągu żeglugi, oraz uczuł w swem sercu niezwykle dotychczas męztwo i odwagę.

Franciszek Serrano. — Drugi z błogosławionych męczenników, Franciszek Serrano, syn Franciszka i Maryi de Frias, ubogich lecz bogobojnych rodziców, ujrzał światło dzienne przy końcu 1695 r. w niewielkiej miejscinie Guenexa w południowej prowincji Grenadzie, należącej do diecezji Kadykskiej.

Od lat najmłodszych cnotliwa matka zaszczerpiła w sercu dziecięcia ducha głębokiej pobożności, miłości bliźniego. Od dzieciństwa modlitwa była najmilszem zatrudnieniem naszego Błogosławionego, kościół zaś ulubionem miejscem jego pobytu. Niewinną, dziecięcą duszę małego Franciszka wówczas największa napełniała radość, gdy mógł być świadkiem wzniosłych tajemnic ofiary Mszy świętej. Dlatego też Bóg, który lubi obcować z prostaczkami, a zwłaszcza dziećmi, dopóki w ich duszy kwitnie jeszcze rajski kwiat niewinności, obdarzył przyszłego męczennika licznymi niebiańskimi łaskami.

Najpotężniejszą podporę jego cnoty stanowiła głęboka cześć dla Najśw. Panny, Marya bowiem nazwana słusznie Matką pięknej miłości, przykuła do siebie czystą, dziecięcą duszę małego Franciszka. W nabożeństwie do Matki Boskiej, znajdował młody chłopak największą rozkosz i pociechę, hojne też nieraz łaski otrzymywał z rąk Tej, którą Kościół nazywa słusznie Matką Łaski Bożej. To też Ona mu uprosiła jedną z największych

łask: powołania zakonnego, a mianowicie do Ojców Zakonu Kaznodziejskiego w Grenadzie, gdzie niebawem przywdział białą szatę św. Dominika, a dnia 22 kwietnia 1714 r., jako dziewiętnastoletni młodzieniec, złożył uroczyste zakonne śluby. Z chwilą przywdziania szaty zakonnej, Franciszek postanowił stać się jak najpożyteczniejszym pracownikiem w Winnicy Pańskiej.

W tym celu z zapałem oddał się naukom teologicznym, a tak wielkie czynił w nich postępy, że jego egzamina ogólne zjednały uznanie i skłoniły przełożonych do oddania mu wykładów filozofii w Grenadzie. Wówczas przed młodocianym profesorem świetna otwarła się karyera. Atoli najmniejszy cień zarozumiałości nie skałał czystej jego duszy, której daleko wznioślejsze, chociaż mniej powabne przyświecały cele. Widział on ciągle oczyma duszy nędzę i upośledzenie tylu milionów ludzi, pogrążonych w ciemnościach poganizmu i marzył jedynie o tem, aby mózdz zanieść tym nieszczęśliwym światło prawdziwej Chrystusowej wiary.

Gdy wreszcie w r. 1725 pewna ilość jego braci zakonnych miała się udać na wyspy Filipińskie, aby się poświęcić nawracaniu niewiernych, Serrano nie zdołał już dłużej ukrywać przed przełożonymi najgorętszych pragnień swego serca. Prosił więc usilnie o przyłączenie go do nielicznej garstki zakonników, wysyłanych na misyje, aby poświęcić resztę życia gorliwej apostolskiej pracy.

Przełożeni zastosowali się do jego prośby, zdawało się im bowiem, że tak niezwykle zapał i powołanie do misyjarskiego zawodu jest widocznym urządzeniem Boskiej Opatrzności. Zaledwie też Serrano otrzymał pozwolenie swoich zwierzchników, natychmiast opuścił ojczyznę i ukochanych współbraci, aby wraz z innymi towarzyszami podążyć przez morza do obcych, nieznanych sobie ludów. Po szczęśliwym przybyciu do Manilli, przyszedł misyjnarz postanowił spędzić tam lat parę, aby się przygotować do prac apostolskich, oraz przyswoić sobie język tego ludu, wśród którego miał spędzić resztę swego życia.

O. Joachim Royo. — Trzecim w szeregu chińskich męczenników był O. Joachim Royo. Urodził się we wsi Hinojosa, należącej do diecezji Teruelskiej w Aragonii i dnia 3 października 1691 r. otrzymał na Chrzcie św. imię swego ojca Joachima. Pobożna i zacna jego matka nazywała się Maryanna Porez.

Mały Joachim otrzymał od rodziców prawdziwie chrześcijańskie wychowanie, szczęście zaś posiadania dobrej matki było jakby promienną gwiazdą, która na całą drogę jego życia jasny rzuciła promień. Młody Joachim odznaczał się przedewszystkiem szlachetnem i litościwem sercem, tak, że największą dla niego rozkoszą było rozdawanie jałmużn ubogim.

Jako synowi majętnych rodziców, przytem obda-

rzonemu niepospolitemi zdolnościami, otwierało się szerokie pole do zaszczytów i godności. Inne jednak miał Pan Bóg względem Joachima zamiary, skoro od pierwszej młodości dał mu powołanie poświęcenia się służbie Ołtarza. Z latami powołanie stawało się w jego sercu coraz bardziej stanowczem, tak, że ze świątobliwą niecierpliwością oczekiwał dnia, w którym miał przywdziać szatę zakonną. Otrzymawszy na to pozwolenie rodziców, Joachim udał się do Walencji i wstąpił do zakonu OO. Dominikanów. Było to w dniu 24 marca 1709 r.

W okresie próby gorliwy nowicjusz pracował z tak wielkim zapałem nad własnem udoskonaleniem, że służył wszystkim za wzór pobożności i cnoty. Dlatego też przeor klasztoru odezwał się pewnego razu, że zakon w tym nowicjuszu nader cenny zdobył klejnot. Po ukończeniu nowicyatu, młody zakonnik złożył uroczyste śluby i rozpoczął niezwłocznie zwykłe studia teologiczne.

Jeżeli z jednej strony złożenie ślubów zakonnych zdawało się go skłaniać do coraz szybszych postępów na drodze doskonałości, to z drugiej i naukowe jego studia nic nie pozostawiały do życzenia. W kilkadziesiąt lat później, gdy wieść o męczeńskiej śmierci Joachima doszła do Walencji, jeden z dawnych nauczycieli oświadczył, że podczas swojego pobytu w klasztorze, młody Royo dawał zawsze swym towarzyszom przykład niezwyklej skromności i gorliwości w spełnianiu zakonnych obowiązków, oraz, że nigdy nie dostrzegł w nim nic, coby na najlżejszą zasługiwało naganę.

Pewnego razu jeden z nauczycieli skierował rozmowę na misję pomiędzy poganami, ubolewając nad tem, że tak mało robotników pracuje dotąd w tej winnicy Pańskiej, leżącej odłogiem. Słowa jego tak silne na Bracie Royo wywarły wrażenie, że postanowił niezwłocznie prosić o przyjęcie do prowincji zakonnej pod wezwaniem Różańca świętego na wyspach Filipińskich, aby mógł tam urzeczywistnić najgorętsze swe pragnienie nawracania niewiernych. Pomimo jednak tak szczerzej żądzy poświęcenia się pracy apostolskiej, dobry zakonnik nie chciał iść za głosem własnej jedynie woli, ale zasięgał rady duchownych kierowników, oraz za pomocą postu i ciągłej modlitwy starał się poznać wolę Pana Boga. Zarówno spowiednik, jak i przełożeni, zezwolili na świątobliwe jego przedsięwzięcie, spostrzegli w tem bowiem objaw potężnej woli Tego, który sam pomiędzy ludźmi wybiera sobie narzędzia, mające mnożyć chwałę świętego Jego Imienia.

Otrzymawszy żądane pozwolenie, Royo nie zwlekał już dłużej z wykonaniem swego zamiaru i dnia 16 września 1712 roku odpłynął z Kadyksu na wyspy Filipińskie z 42 innymi kapłanami ze swego zakonu, pomiędzy którymi znajdował się również przyszły towarzysz męczeństwa O. Piotr Sanz.

Dnia 2 grudnia 1712 r. grono Dominikańskich mis-

syonarzy wylądowało w porcie Vera-Cruz na meksykańskim wybrzeżu. Ztamąd udał się Royo do Pueblo de los Angeles, gdzie otrzymał święcenia na subdyakona. W r. 1713 przybył na wyspy Filipińskie i po odbyciu dalszych studyów, został wyświęcony na dyakona. Niezwykłe zdolności i cnoty Roya zwróciły uwagę jego przełożonych, którzy poczytując niepospolitą gorliwość młodego dyakona za objaw łaski Bożej, uznali za właściwe spełnić jego życzenie i w 23-cim roku życia wysłali go do Chin.

Po szczęśliwem przybyciu do miasta Fo-Gan w chińskiej prowincji Fo-Kien, które miało stać się widownią apostolskiej jego działalności, Joachim Royo został w r. 1716 wyświęcony na kapłana.

Tak więc na ziemi chińskiej młody zakonnik odprawił pierwszą Mszę świętą, i tutaj cały kapłański swój żywot aż do męczeńskiej śmierci poświęcił na chwałę Bożą i pożytek missyi.

O. Jan Alcober. — W południowej Hiszpanii, na dolinie słynnej ze swej żyzności i zdrowego klimatu leży piękne, rozległe miasto Granada nad rzeką Darro, w pobliżu jej ujścia do rzeki Xenil. Pod względem ilości mieszkańców, Granada pomiędzy największymi miastami hiszpańskimi, szóste zajmuje miejsce. W okresie największej swej świetności miasto to liczyło 400.000 mieszkańców, teraz jednak cyfra ich dochodzi zaledwie do 76.000. Oddawna już Granada cieszyła się wielu zaszczytnymi przywilejami królewskimi, a zarazem słynęła z mnóstwa zabytków historycznych i wspaniałych szczątków olbrzymich budowli, pomiędzy którymi kościół św. Dominika należy do najpiękniejszych i najbardziej godnych uwagi. W tem właśnie pięknem mieście urodził się w r. 1694 z zamożnych chrześcijańskich rodziców O. Jan Alcober, czwarty z pomiędzy naszych męczenników. Ojciec jego Jan Franciszek Alcober był rodem z Belmont w Aragonii, rodzinnem zaś miejscem jego matki było Ontiniente w prowincji Walenckiej. Od dzieciństwa Jan Alcober otrzymywał nader staranne, prawdziwie chrześcijańskie wychowanie.

Nie zepsuty uciechami świata i przejęty gorącą ku Bogu miłością, młody Jan Alcober już w piętnastym roku życia wstąpił do klasztoru OO. Dominikanów, w rodzinnem mieście Granadzie. Dnia 26 grudnia 1710 r. otrzymawszy błogosławieństwo rodziców, młody nowicjusz złożył uroczyste śluby zakonne i od tej chwili zakon stał się dla niego jakby drugą, ukochaną matką. W głębokiej ciszy klasztoru wyrzekł się on stopniowo wszelkich ziemskich uczuć, upodobań i skłonności, aby następnie jako apostoł, wolny od jakichkolwiek więzów tego świata, poświęcić życie za wiarę i Chrystusa.

Po ośmiu latach gorliwej nauki i otrzymaniu święceń kapłańskich, Jan Alcober został wysłany przez przełożonych do klasztoru św. Dominika w mieście Lorca,

gdzie w pięknych kazaniach złożył pierwsze próby apostołskiego powołania. Niejednokrotnie atoli, gdy przemawiał z kazalnicy do wiernego ludu, jakiś głos wewnętrzny szeptał mu, że powinien opuścić ojczyznę, aby móżdż niewiernym głosić słowo Boże. Coraz też bardziej potęgowała się w nim gorąca żądza pozyskania dusz dla Boga i wyprowadzenia ich z ciemności poganizmu na światło chrześcijańskiej prawdy. Dlatego też, gdy w r. 1725 garstka zakonnych braci miała odpłynąć na wyspy Filipińskie, aby się tam przygotować do missyi wpośród pogan, Jan Alcober nie mogąc dłużej oprzeć się swym pragnieniom, przyłączył się do tego grona i wkrótce potem znajdujemy go już w Chinach jako missyonarza, pracującego niezmiennie dla dobra swych bliźnich.

O. Franciszek Diaz. — Słusznie rzec można, że pod względem piękności krajobrazu, żyzności gruntu, oraz mnóstwa cennych pamiątek z zamierzchłej przeszłości, południowa Hiszpania przewyższa znacznie wiele innych na ziemi krain. W żadnym może zakątku Europy Europy nie doznaje się tak silnego złudzenia, że się znajdujemy w Afryce, złudzenie zaś to wypływa głównie z niezwykłego bogactwa podzwrotnikowej roślinności. Tu właśnie rozciąga się przepyszna Andaluzyska równina, przerznięta niebieską wstęgą wspaniałego Gwadalkwiwuru, jednej z największych rzek w Hiszpanii, spławnej nawet dla ogromnych żaglowych okrętów.

Z pomiędzy licznych dopływów wpada też do Gwadalkwiwuru niewielka rzeka Jenil, płynąca w kierunku północno-zachodnim, nad nią też leży miasto Ecija, słynne ze starożytnych zabytków, jak również z handlu i przemysłu. Mury tego miasta mieszczą przeszło 25.000 mieszkańców, trudniących się przeważnie uprawą bawełny. Ecija właśnie była rodzinnym miejscem najmłodszego z naszych męczenników, bł. Franciszka Diaza, który się tam urodził dnia 2 października 1713 r. Ojciec jego Jan Diaz pochodził ze starej szlacheckiej rodziny, a ożeniwszy się z Izabellą Maryą Rios, przeniósł się do Ecii. Gorąca wiara i nastrój prawdziwie chrześcijański, były największym skarbem tej rodziny. Nic też dziwnego, że pobożni rodzice dokładali wszelkich możliwych starań, aby wychować swego syna w cnocie i bojaźni Bożej.

Wyszedłszy z lat dziecięcych, Franciszek Diaz zaczął się kształcić w klasztornej szkole św. Pawła i św. Dominika. Tam poznawszy życie zakonne, zapragnął brać udział w szczęściu dusz Bogu poświęconych i w tym celu dnia 11 września 1730 r. wstąpił do zakonu św. Dominika. Po ukończeniu studyów i otrzymaniu święceń kapłańskich, młody zakonnik odpłynął na wyspy Filipińskie, aby tam rozpocząć apostołskie prace.

Należy przyznać, że wykonanie tego bohaterskiego zamiaru, nie mało kosztowało O. Franciszka, rodzice

bowiem i rodzeństwo, a zwłaszcza kłiwie kochająca matka starała się prośbami i łzami odwieść go od tego przedsięwzięcia i skłonić go do pozostania w ojczyźnie. Atoli Franciszek nie dał się zniechęcić żadnymi trudnościami, czuł bowiem coraz bardziej, że obowiązek mu nakazuje poświęcić życie dla chwały Bożej. Miłość Boga odniosła zwycięztwo nad wszystkimi uczuciami ziemskimi tak, że wszelkie namowy rodziców i siostr w celu zaniechania pobożnego zamiaru, żadnego nie odniosły skutku.

Zresztą nie było to wcale nagłe i niespodziewane postanowienie, gdy błogosławiony nasz męczennik od dawna już czuł w sobie głos Boży, nakazujący mu stać się apostołem pogan, o czym sam jego ojciec niejednokrotnie mówił. Gdy bowiem przeor klasztoru św. Dominika przyniósł Janowi Diaz wiadomość, że syn jego umarł w Chinach jako męczennik, ojciec Błogosławionego wysłuchał jego słów z rezygnacją i spokojem, dziękując Bogu za tak wielką łaskę. Oświadczył też zarazem przy tej sposobności, że gdy Franciszek miał zaledwie lat 12, rodzice chcieli mu zapewnić bogatą kościelną prebendę, do której rodzina Diaz oddawna miała prawo. Inaczej wszakże zapatrywał się chłopak na swoje powołanie i nie chcąc nawet myśleć o zostaniu kapłanem dlatego jedynie, by sobie i swoim najbliższym doczesny pozyskać dobrobyt, odpowiedział ojcu na jego propozycję następującemi słowy: »Nie troszcz się wcale o to, drogi ojczu, bo syn twój nie pragnie bynajmniej dóbr ziemskich, jedynym zaś mojem pragnieniem jest służyć Panu Bogu w zakonie św. Dominika. Natychmiast po dojściu do pełnoletności przywdziej szatę zakonną i wraz z pierwszymi missyonarzami, jacy zostaną wysłani na wyspy Filipińskie, podążę do odległych tych krain, aby tam resztę życia poświęcić dla Chrystusa«.

W liście tym dwunastoletni chłopak dał poznać wymownie swoje przekonanie i rzeczywiście spełnił to, co obiecał wówczas swemu ojcu. (C. d. n.).

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE Z MISSYJ.

Europa. — Albania. O. Dominik Pasi pisze do nas dnia 3 kwietnia 1894 r.:

»Już dwa i pół miesiąca znajduję się w archidiecezyi Skopijskiej. Z moimi towarzyszami przebiegałem rozmaite wioski, należące do parafii Dziakowy i Ipekū, z wielkim pożytkiem dla biednych prześladowanych chrześcijan. Wiele było nawróceń, pojednań zwaśnionych, zięjących chęcią krwawej zemsty ku nieprzyjacielowi, wiele mówiłem kazań i nauk katechistycznych, parę odbyłem całkowitych missyi, z których jedną w kościele wioski zwanej Czernogóra, gdzie się znajduje cudowny obraz Boga-Rodzicy.

»Mój Ojczu! gdybyś widział w jakim stanie znajdują się biedni chrześcijanie, rozproszeni wśród Muzułmanów! Ile tu apostazyi, ile prześladowań! Ludność całej okolicy Skopijskiej Archi-

dyecezyi była kiedyś zupełnie katolicką, dziś są prawie wszyscy Mahometanie i z każdym rokiem nowe apostazy pojedynczych ludzi i całych rodzin, a przyczyna tego najgłówniejsza w tem, że nie było tu kapłanów.

»Mamy zamiar utworzyć w tej archidyecezyi, a mianowicie w Prizrenie stacyę misyjną ze stałą siedzibą naszych kapłanów. Jest to konieczność nie cierpiąca zwłoki, bo inaczej i tę resztę ludności katolickiej stracimy dla wiary świętej i zbawienia.

»Muszę walczyć z potrzebami materyalnemi, a tu tyle pracy duchowej, że jej podolać nie mogę! Oby mi się udało znaleźć fundusz na postawienie chociaż lichej lepianki dla naszych misyjnarzy, w którejby mogli się schronić na wypoczynek po niedoopisaniu trudnej apostolskiej pracy, lub w razie choroby!...«

Azya. — Misyjonarze z seminaryum misyj medyolańskich.

Z ostatniego zeszytu *Missioni cattoliche* wyjmujemy ciekawy wykaz wyników, osiągniętych w roku ubiegłym przez misyjnarzy z seminaryum San Calocero w sześciu misyjach indyjskich i chińskich, powierzonych ich pieczy.

Misyje te w obecnej chwili posiadają: 6 biskupów, 52 misyjnarzy, 16 kapłanów krajowców, 90 zakonnic z Europy, 40 zakonnic Hindusek lub Chinek, 5 katechistów europejskich, 253 katechistów krajowców, 354 kościoły i kaplice, 4 seminarya z 56 alumunami, 4 kolegia z 860 wychowancami i 203 szkoły z 4500 uczniami.

Ceylon. — Postępy katolicyzmu w dyecezyi Kolombo. X. Arcybiskup Melizan, Oblat Niepokalanego Poczęcia, przesyłając sprawozdanie z prac apostolskich w swej archidyecezyi za czas od dnia 1 września 1892 r. do dnia 31 sierpnia 1893 r., dodaje co następuje:

»Z ilości chrztów udzielonych w tym przeciągu czasu, a dochodzących do cyfry 6638, możecie wnioskować, jakim błogosławieństwem darzy Pan Bóg swoje sługi i do dalszej zachęca je pracy.

»Z radością również donoszę wam, że niedawno temu w pobliżu katedry, w dzielnicy Kottahena, zbudowaliśmy dom, w którym misyjnarze przejeżdżający przez Kolombo znajdą dla siebie schronienie.

»Budowa katolickiego kolegium, rozpoczęta jeszcze przez czcigodnego mego poprzednika, nader szybkim, Bogu dzięki, posuwa się krokiem, tak, że mamy nadzieję, iż niebawem będziemy mogli je otworzyć«.

Wyświęcenie X. biskupa Cardota. — X. Gasnier, biskup Malakki, ze Stowarzyszenia misyj zagranicznych, pisze z Penangu:

»Czcigodny nasz weteran, X. biskup Bigandet, ukończywszy obecnie lat 80, z których 56 spędził na misyjach, z początku jako kapłan, a od 27 lat jako biskup, prosił w ostatnich czasach Stolicę Apostolską o wyznaczenie dla siebie koadjutora i przyszłego następcy, Ojciec zaś święty przychylił się do jego prośby. W chwili, gdy przewielebny ten Prałat wylądował w Birmanii, ja, który dzisiaj jestem już siwowłosym starcem, miałem zaledwie cztery lata. Przed sześciu laty cała ludność Rangoonu, złożona z katolików, protestantów i pogan, obchodziła z zapalem jubileusz kapłaństwa i misyjnej działalności tego, którego słusznie nazwano pierwszym tutaj pionierem, tak jak niegdyś nazywano X. biskupa Puginiera pierwszym pionierem Tonkinu.

»Pomimo znacznej odległości, dzielącej Syngapore od Rangoonu, przyjąłem bez wahania zaproszenie, skreślone drżącą dłonią czcigodnego starca. Żeglugę moją pomijam milczeniem, to tylko powiem, że w przystani rangoonńskiej X. biskup Bigandet wraz ze swym wikaryuszem generalnym oczekiwał naszego przybycia.

»Ceremonii konsekracji X. biskupa Cardota, która trwała parę godzin, dopełnił naturalnie X. biskup Bigandet, odznaczający się pomimo podeszłego wieku taką gorliwością i energią, że wielu

biskupów znacznie od niego młodszych mogłoby mu zazdrościć«.

(Zob. niżej nekrolog. *Przyp. Red.*).

Chiny. — Odnaczenie X. biskupa Anzera przez cesarza chińskiego. X. Biskup Anzer, wikaryusz apostolski południowego Szantungu pisze do nas:

»Ponieważ jestem teraz w Pekinie *persona gratissima*, wikaryat więc mój uniknął prześladowania, drobne zaś rozterki z łatwością dały się uśmierzyć. Ale, niestety, wylew rzeki Hoang-Ho, tudzież napaści opryszków wielkie wyrządziły nam szkody.

»Wreszcie muszę zaznaczyć, że cesarz chiński udzielił mi godności mandaryna wraz z prawem noszenia gałki trzeciej klasy. Zaszczytna ta oznaka, jak głosi towarzyszący jej edykt, została mi nadana w nagrodę trudów poniesionych w celu utrzymania zgody pomiędzy chrześcijanami a poganami. Fakt ten zasługuje na uwagę, ponieważ nieprzyjaciele religii obwiniają misyjnarzy o rozruchy, jakie sami wywołali w Chinach, podobny zaś zaszczyt na mandarynach i całej ludności pogańskiej wielkie wywiera wrażenie. Mam też nadzieję, że przyniesie on nam wiele dobrego i z tą jedynie myślą o nim wam donoszę«.

Afryka. — Zambeza. O. Stefan Czimermann w liście do redaktora *Echo aus Afrika* (1 April. 1894) donosi: że chociaż w Dolnej Zambezie od Kilimane do Tete, ustał handel niewolnikami, ponieważ prawnie jest zakazany, to jednak w Górnej Zambezie, wskutek upadku wpływu Europejczyków kwitnie w całej pełni. O. Czimermannowi udało się tamże dużo niewolników wykupić za stosunkowo niską cenę. Za chłopca murzyńskiego lub dorastającą dziewczynę, żądają w tej okolicy dwie sztuczki bawełnianej materyi lub paczkę prochu cztero-funtową; raz kupił za nożyczki dwu murzynków.

Niewolnicy dla właściciela stanowią kapitał rentowny, ponieważ muszą się starać nie tylko dla siebie lecz także dla swego pana o środki utrzymania, a nadto tworzą jego przyboczną gwardyę, tak bardzo potrzebną w okolicach, gdzie wypowiedzenie wojny, a raczej napady Arabów lub innych plemion murzyńskich, następują bez żadnej słusznej przyczyny.

Załączona rycina na str. 133 przedstawia taki napad Arabów na wioskę murzyńską w środkowej Afryce.

Nowy szpital dla trędowatych na Madagaskarze. — Pewien misyjnarz z prowincji Betsileo przesyła nam następujące szczegóły o świeżo założonym szpitalu dla trędowatych w Saint-Laurent de Marana:

»Południowa missya katolicka zdobyła obecnie nowy szpital dla licznych trędowatych z Fianarantsoi i jej okolic, na których niedolę misyjnarze nie mogli patrzeć obojętnym okiem. Szpital ten leży o godzinę drogi od stolicy prowincji Betsileo, u podnóża góry Marana, na północ od słynnego cypla Kianzasoa. Cała ta miejscowość obfituje w wodę, bogata zaś roślinność dostarcza pożywienia i opału. Dokota niema ani pól ryżowych, ani też mieszkań i dlatego też chorzy zabezpieczeni są od miazmatów, wydobywających się zwykle z miejsc wilgotnych, a wskutek tego odosobnienia również zdrowi wolni są od zetknięcia się z trędowatymi.

»Zabudowania szpitalne, chociaż niezbyt obszerne, dość wygodne jednak dla trędowatych stanowią schronienie. Składają się one z budynku, mającego 60 metrów długości, w pośrodku którego wznosi się kaplica, po obu zaś stronach dwa pawilony, połączone ze szpitalem za pośrednictwem werandy. W 28-miu pokojach może się pomieścić sześćdziesięciu trędowatych. O parę kroków od szpitala, w malowniczej miejscowości, wznosi się domek, służący za schronienie kapelanowi i infirmarzowi.

»W obecnej chwili zakład ten liczy zaledwie 23 chorych. Można by w nim wprowadzić pomieścić jeszcze więcej chorych, ale

z jednej strony fundusze misyjne są na to jeszcze za szczupłe, z drugiej zaś strony chodzi nam o to, aby przyjmować do zakładu tylko ludzi cnotliwie prowadzących życie. Przy większej zaś ilości chorych kontrola taka nader byłaby trudną.

»Teraz już misysa południowa nie potrzebuje zazdrościć niczego misysi północnej, która tak słusznie może być dumną ze swego szpitala św. Kamila w Ambahiworace«.

Rola pracy ręcznej w apostołstwie. — W odezwie wydanej podczas wielkiego postu, X. Combes, arcybiskup kartagiński, mówiąc o tem, jak często biedni misyjonarze muszą najcięższych podejmować się robót, w następujący wyraża się sposób:

»Jako prawdziwi wychowawcy dzikich, barbarzyńskich ludów, misyjonarze nasi zaprawiają je do pracy nie tylko słowem, ale przede wszystkim własnym przykładem, obalając zarazem rozmaite przesady i uprzedzenia do ręcznej pracy, przezco pozyskują Kościołowi nowy zastęp dzieci. W taki sposób, rzecz można, dokonywują oni podwójnego podboju barbarzyńskich krain, z jednej bowiem strony karczując grunta i czynią je zdarnymi do wydania obfitych plonów pod dobroczynnymi promieniami słońca, z drugiej zaś przygotowują dusze do ożywczego tchnienia łaski.

»Ileż to pouczających faktów mogliby nam opowiedzieć Ojcowie Biali!

»Jak na polach przez nas uprawianych — pisze jeden z nich z odległej swej misyi — kiełkuje i wzrasta zboże, tak w sercach naszych murzynów prawda ewangeliczna coraz głębsze zapuszcza korzenie.

»Nad brzegami wielkich jezior Afryki środkowej, jak również w całym górnym Kongo, niezmordowani ci apostołowie zakładają coraz to nowe chrześcijańskie gminy, pracując w pocie czoła dla ich moralnego i materialnego dobra. Niejednokrotnie też wprzód, nim wystąpią w roli misyjonarzy, muszą zostać rolnikami, kamieniarzami, murarzami i cieślami, odnawiając przy końcu XIX wieku w oczach biednych mieszkańców równinowych krain, chwalebne i świątobliwe tradycje, które w wiekach średnich ocaliły Europę od barbarzyństwa.

»Zdaleka już każdy podróżnik rozpoznać może zakładane przez nich kolonie, nie tylko po krzyżu, jaśniejącym po nad kościołem lub kaplicą, ale zarazem po starannie uprawionych plantacjach, irygacyjnych kanałach, porządnym domach i bitych drogach, które świadczą, że dzięki ten niegdyś zakątek podbiła już praca i cywilizacja«.

Oceania. — Budownictwo w Nowej Gwinei. — Z listu X. Arcybiskupa Navarre, misyjonarza od Najśw. Serca z Issoudun i wikaryusza apostolskiego Nowej Gwinei, wyjmujemy następujące ustępy:

»Z powodu braku kamieni i wapna, pałac mój dotychczas zbudowany był ze słomy i trzciny. Pomijając wiele innych stron ujemnych, zaznaczyć muszę, że budynki takie trwają najwyżej dwa albo trzy lata. Nieraz też zdarzało mi się znaleźć na łóżku lub innym sprzęcie ogromne jadowite węże. Postanowiliśmy więc zaopatrzyć misję w trwalsze i porządniejsze budynki, ponieważ zaś jedyny materiał budowlany stanowią drzewa rosnące w lesie, musieliśmy więc rozpocząć pracę *ab ovo*, to jest ścinać drzewa, piłować je na belki i deski, a wreszcie pomimo wycieńczenia z powodu gorącego klimatu i febry, zabrać się sami do budowy domów. Była to praca olbrzymia, w każdej bowiem stacyi misyjnej, a zwłaszcza tam, gdzie oprócz misyjonarzy znajdują się zakonnice, musieliśmy zbudować trzy lub cztery domy. Wszystkie te roboty wykonali po

większej części sami misyjonarze, krajowcy bowiem pomagają nam tylko w ścinaniu drzew i przewożeniu ich do misyi.

»Potrzeba porządnym misyjnym rezydencjom coraz bardziej daje się uczuwać. Również niezbędne są szkoły, któreby jak najszybciej zbudować należało. Wprawdzie nauka na wolnym powietrzu, w cieniu kokosowego drzewa, ma wiele stron poetycznych, ale pod względem praktycznym nie mało pozostawia do życzenia, gdyż wobec warunków tutejszego klimatu ilość naszych uczniów i słuchaczy, musiałaby zawsze być bardzo szczupłą«.

Wyspy Filipińskie. — Okropne zaiste są szczegóły, jakie dzienniki filipińskie podają o napaści pogańskich Morosów z Mindanao na ludność chrześcijańską sąsiedniej osady Lepanto.

W ostatnich czasach około 400 dobrze uzbrojonych Morosów wtargnęło do tej osady i sprofanowało kościół, zabierając ze sobą piękny i kosztowny krucyfiks z wielkiego ołtarza.

Wyszedłszy z kościoła, niegodziwcy rozbiegli się po całej wiosce, rabując lub niszcząc wszystko, co im wpadło pod rękę, poczem schwytawszy w niewolę miejscowego wodza Mamalagao i dwunastu najbogatszych mieszkańców, podążyli wraz z nimi do Melinkwitano. Tam ośmieleni poprzedniem zwycięstwem, zaczęli jeszcze większych dopuszczać się bezprawii, a nawet zamordowali wodza, jego pomocnika i parę kobiet, które starały się wymknąć z rąk napastników.

Dowiedziawszy się o tem, gubernator z Nowej Walencji, zaczął zbierać ludzi zdolnych do noszenia broni, w czem O. Misyjonarz z Nowej Sewilli i komisarz policyjny czyli *alferaz* z Bugkaonu, dopomagali mu gorliwie, starając się natchnąć nowozaciecznych żołnierzy mężstwem i odwagą. W parę też dni później około 400 chrześcijańskich ochotników z gubernatorem i misyjonarzem na czele, wyruszyło na spotkanie nieprzyjaciół.

Ci ostatni, nie domyślając się wcale, aby górale chrześcijańscy zdecydowali się na ten krok stanowczy, podążali spokojnie w kierunku Kulumanu i coraz to nowe po drodze popełniali zbrodnie. W chwili, gdy zasiedli do uczty, zostali napadnięci przez walecznych chrześcijan i tak dalece się przestraszyli, że nie stawili nawet oporu, ale usiłowali tylko ratować się ucieczką. Na placu krótkiej tej walki pozostało jedynie dwóch poległych Morosów, Amaj-Lambuag i Mankujan, a 22 dostało się w niewolę. Ze strony chrześcijan jeden tylko, a mianowicie wódz z Kalasungaju odniósł dość ciężką ranę w rękę, którą musiano mu amputować.

Za powrotem do Lepanto dzielni ochotnicy zostali powitani radośnemi okrzykami przez całą ludność, która się ucieszyła niezmiernie, odzyskawszy kilkunastu swych przedstawicieli, uprowadzonych przemocą przez niegodziwych Morosów.

Nekrologia. — X. biskup Bigandet, wikaryusz apostolski południowej Birmanii. Depesza z Rangoonu donosi o zgonie czcigodnego weterana apostołstwa ze Stowarzyszenia misyj zagranicznych w Paryżu.

X. Paweł Ambroży Bigandet, tytularny biskup Ramathy i wikaryusz apostolski południowej Birmanii, urodził się w Malans (dyeceza Besançon) w r. 1813, do Birmanii zaś odpłynął jako misyjonarz w r. 1837. W dziewiętnaście lat później został mianowany tytularnym biskupem Ramathy i koadjutorem X. wikaryusza apostolskiego Malezyi, w roku zaś 1870 otrzymał nominację na wikaryusza apostolskiego południowej Birmanii i po 24-letniem rządzeniu tą misją, umarł dnia 19 marca b. r. w Rangoonie.

O działalności tego Biskupa misyjonarza, pisaliśmy obszernie w *Missyach katolickich* z r. 1890 pod tytułem: »Birma«.